BAŚNIE ANDERSENA

BAŚNIE ANDERSENA

OPRACOWAŁ

ALEKSANDER SZCZĘSNY

ILLUSTROWAŁ

EDMUND DULAC

WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PRAWDZIWA KSIĘŻNICZKA.

Był raz pewien książę, który zapragnął pojąć za żonę prawdziwą, wedle swego wyobrażenia, księżniczkę. Ale jego własne pojęcia tak mu utrudniały wybór odpowiedniej małżonki, że udał się w podróż po całym świecie, myśląc, iż przecież kiedyś taką znajdzie. Jednak biedny książę podróżował napróżno; wiele spotykał księżniczek, żadna jednak jakoś nie odpowiadała jego chęciom. To też powrócił wreszcie utrudzony do domu, ale choć go to smuciło, nie porzucił swego zamiaru.

Pewnego wieczora na dworze była nawałnica: grzmiało, błyskało się i padał ulewny deszcz. Nagle ktoś zapukał do wrót zamkowych i tak się jakoś złożyło, że sam stary król ojciec poszedł przybyszowi otworzyć.

We wrota, jak się okazało, pukała księżniczka. Lecz, o Boże, cóż uczyniły z nią deszcz i wichura? Przemokła była od stóp do głów, a gdy zdjęto z niej odzienie, aby wyschło przy ogniu, wtedy powiedziała dopiero, że ona właśnie jest prawdziwą księżniczką.

Trudno było temu uwierzyć, lecz stara królowa, która już wiele dziwów widziała, pomyślała sobie, że o wszystkiem można

się mądrze przekonać i poszła pocichutku do sypialni, przeznaczonej dla gościa. Tam zdjęła pościel, ułożoną na łożu i na samem spodzie położyła ziarnko grochu, a potem dopiero nakryła je dwudziestoma materacami, na które znów położyła jeszcze dwadzieścia pierzyn i poduszek. Wtedy zaprowadzono księżniczkę na noc do sypialni.

Nazajutrz stara królowa zapytała ją, czy się dobrze wyspała.

— Bardzo, bardzo źle — odpowiedziała na to księżniczka — całą noc nie mogłam oczu zmrużyć. Bóg wie, co było w mojem łożu, ale czułam, że leżę na czemś twardem, co porobiło mi siniaki po całem ciele. O, to było okropne!

Po tych słowach wszyscy poznali odrazu, że to była prawdziwa księżniczka. Nikt bowiem inny nie mógł być tak delikatny, aby poczuć ziarnko grochu przez taką górę pościeli. I książę ożenił się z nią i długo żyli sobie szczęśliwie, a ziarnko grochu oddano do muzeum osobliwości, gdzie może jeszcze dotąd istnieje.

OGRÓD RAJSKI.

Był niegdyś na świecie syn książęcy; nikt nie miał tylu pięknych książek, co on. Wszystko, cokolwiek się stało, mógł z ich kart, ozdobionych różnemi malowidłami, wyczytać.

I dlatego wiedział o wszystkich ludach i krajach. Ale w książkach nie było nigdzie ani słowa o ogrodzie rajskim, o którym mały książę myślał najczęściej. Chcielibyście wiedzieć, dlaczego tak sobie głowę zaprzątał rajskim ogrodem?... Oto, gdy był maleńki i zaczynał się uczyć, babka jego opowiadała mu, że niektóre z kwiatów w tym ogrodzie są najsmaczniejszemi ciastkami, kielichy zaś innych napełnia doskonałe wino. Każdy przytem z kwiatów zawiera jakieś wiadomości, potrzebne dzieciom do nauki. I wystarczy tylko jeść owe ciastka i zapijać je kwiatowem winem, aby coraz więcej posiadać przeróżnych potrzebnych mądrości.

Dopóki królewicz był mały, wierzył święcie w to, co mu dobra babka opowiadała, lecz w miarę, jak rósł i czytał dużo, stawał się coraz mądrzejszy i zaczął pojmować, że wspaniałości raju zupełnie na czemś innem polegały.

— O, dlaczegóż Ewa zerwała owoc z drzewa wiadomości?

Dlaczego Adam go skosztował? Gdybym był na jego miejscu, nigdyby mi się to nie wydarzyło; nie przyczyniłbym się do powstania grzechu na świecie! —

I odtąd myślał o tem często królewicz. Myślał choć, był już siedemnastoletnim młodzieńcem, a ogród rajski zaprzątał mu ciągle najskrytsze myśli i marzenia.

Pewnego razu poszedł królewicz do lasu; poszedł sam, ponieważ kochał bardzo samotność. A tymczasem zbliżył się wieczór, nadciągnęły obłoki, wreszcie rozpadał się deszcz tak rzęsisty, jakby niebo było jednym, wielkim upustem. Zapadła mroczna noc. Wkrótce królewicz zaczął się poślizgiwać na mokrych trawach, potykać o wilgotne kamienie. Wszystko ociekało wodą, a na księciu nie było już dawno suchej nitki. Musiał przytem przedzierać się przez zwały kamieni, z których woda strumykami się sączyła. Nagle usłyszał królewicz jakieś niezwykłe trzeszczenie i ujrzał przed sobą obszerną, jaskrawo oświetloną jaskinię. Pośrodku płonął ogień tak wielki, że możnaby przy nim upiec całego wołu. Ogień ten rzeczywiście służył do czegoś podobnego, bo obracał się nad nim na rożnie, wspartym na dwuch jodłowych pniakach, wspaniały jeleń. Niemłoda kobieta tak wysoka i tęga, że wydawała się raczej mężczyzną, siedziała przy nim i dorzucała szczapy drzewa, jedną po drugiej.

— Zbliż się — rzekła, gdy zauważyła księcia — siadaj przy ogniu i osusz się.

— Jakiż tu przeciąg — powiedział książę, siadając na ziemi.

— Poczekaj, będzie jeszcze gorszy, gdy powrócą moi synowie. Jesteś w jaskini wiatrów, a synowie moi to wichry czterech stron świata.

— Gdzież są twoi synowie? — zapytał książę.

— Głupiec potrafi pytaniami swemi zadać robotę dziesięciu mędrcom — odparła na to kobieta. — Synowie moi są dojrzali i nigdy nie opowiadają się z góry. Pewno bawią się teraz piłkami obłoków tam wysoko w świecie — i mówiąc to, wskazała ręką w górę.

— Tak, tak, — przemówił książę — ależ dostaję ostre odpowiedzi; nigdy nie zdarzyło mi się usłyszeć czegoś podobnego od kobiet, które dotychczas spotykałem.

— Nie mają one nic innego do roboty, jak dawać słodkie odpowiedzi. A ja muszę być stanowczą, aby utrzymać w karbach moich zuchów. Czy widzisz te cztery worki, wiszące na ścianie? Lękają się oni ich taksamo, jak ty kiedyś rózeczki zatkniętej za lustrem. Wierzaj mi, że potrafię ich przytrzymać, gdy coś złego zbroją, a wtedy pakuję ich do worków. Tam już niczego nie dokażą. Siedzą cicho i nie wypuszczam ich dopóty, póki to uznam za stosowne. Ale otóż masz jednego.

W tej chwili jaskinię napełniło przeraźliwe zimno i pojawił się wiatr północny. Spadały przed nim na ziemię wielkie ziarna gradu, a śnieg kłębił się wokoło. Wicher odziany był cały w futra niedźwiedzie. Takaż czapa nasuwała się mu aż na uszy, a z brody zwisały długie sople.

— Proszę nie podchodzić do ognia — zawołał książę. — Tak można na nic odmrozić sobie twarz i ręce.

— Odmrozić! — zawołał wiatr i zaczął śmiać się głośno. — Mróz jest mi najmilszy. Skądżeś się tu wziął z temi ostrzeżeniami? Jakżeś trafił do jaskini wichrów?

— To mój gość — przerwała stara — a jeśli ci to nie wy-

starcza, dostaniesz się do worka. — I o dziwo! wicher północny uspokoił się odrazu i zaczął opowiadać, skąd przybywa i co porabiał cały miesiąc.

— Wracam z Lodowatego oceanu — mówił — gdzie razem z poławiaczami fok byłem na wyspach niedźwiedzich. Drzemałem już na ich sterze, gdy odpływali na morze. Kiedym się ocknął, ptak burzy krążył mi u nóg. Zabawny to ptak. Zrazu uderza szybko skrzydłami, a potem zatrzymuje je i mimo to leci szybko dalej.

— Opowiadajno bez dodatków — przerwała mu matka — a zatem dostałeś się na wyspy niedźwiedzie?

— O tak, wspaniale jest tam, arcywspaniale! Ziemia, tak jak stworzona do tańca, gładka jak talerz, z półstopniałego śniegu i mchu. Leżą tam tylko ostre głazy i szkielety fok i niedźwiedzi. Zda się, jakby nigdy słońce tam nie świeciło. Dmuchnąłem lekko w mgłę, aby odsłonić coś, co się śród niej czerniło. Był to dom, zbudowany ze szczątków okrętu, okryty skórami lwów morskich. Na dachu siedział wielki biały niedźwiedź i pomrukiwał sobie. Wtedy poszedłem na piaszczysty brzeg, zajrzałem do gniazd ptasich i poigrałem z pisklętami. Ponieważ krzyczały i wołały jeść, więc dmuchnąłem im w rozwarte dzioby, aby nauczyły się cierpliwości. A tymczasem dalej nad samą wodą przewalały się foki, niby olbrzymie gąsienice z głowami świń i olbrzymimi kłami.

— Rzeczywiście dobrze opowiadasz mój synu, — rzekła stara, — na samo opowiadanie ciecze mi już ślinka.

A wicher prawił dalej:

Wreszcie zaczęły się łowy. Pociski trafiały bezbronne foki

i dymiąca krew zalała lód. A wtedy i ja przypomniałem sobie moje rozrywki i aby pokazać żeglarzom siłę podmuchu, napędziłem wielkie góry lodowe, które uwięziły ich statek. Jakże wtedy hałasowali oni i krzyczeli, ale ja dąłem głośniej. Aż wreszcie łowcy musieli statek opuścić. Wszystko: zabite zwierzęta, paki, beczki i liny, musiały być na lód wyładowane. Wtedy osypałem ich śniegiem, i całe obozowisko razem ze zdobyczą, popędziłem na oderwanej krze na południe. Skosztują tam napewno słonej wody i nie powrócą już nigdy na wyspy niedźwiedzie.

— Tak, aleś przecie w ten sposób źle czynił — rzekła mu matka.

— Wszystkie moje dobre uczynki niechaj ktoś inny opowie — dodał wiatr północny, — bo oto jest mój brat z zachodu, kocham go najbardziej, przypomina mi morze i przynosi miły chłód ze sobą.

— Czyż to jest właśnie maleńki zefir? — zapytał książę.

— Tak, to zefir, — odparła stara — tylko teraz urósł już znacznie. Za dawnych czasów był to piękny chłopczyna, lecz to już minęło.

Rzeczywiście wiatr zachodni wyglądał, jak dziki człowiek w swoim śpiczastym kapeluszu na głowie. W ręce dzierżył maczugę z mahoniu, gdyż innej podpory nie używał nigdy.

— Skąd przybywasz? — zapytała go matka.

— Z lasów dziewiczych — odpowiedział — gdzie liany łączą drzewa w nieprzebyte gęstwiny, gdzie wodne węże spoczywają w wilgotnych trawach, a ludzie wydają się niepotrzebni.

— Cóżeś tam porabiał?

— Patrzyłem na rzekę tam, gdzie, spadając ze stromych skał, zamienia się w pył wodny, płynący wolno w górę i gra-

jący ogromną tęczą w słońcu. Rzeką płynęły bawoły, prąd porwał je ze sobą; dzikie kaczki płynęły także z wodą, lecz przed samym wodospadem wzniosły się w górę, a woda musiała w dół spadać. Było to bardzo zabawne i dlatego zadąłem z całych sił i naobalałem trochę odwiecznych drzew, wyrywając je z korzeniami z ziemi.

— A prócz tego niceś nie robił? — pytała matka.

— Owszem, pędziłem dzikie konie przez sawannę i strącałem orzechy kokosowe. I mam jeszcze wiele, wiele rzeczy do opowiedzenia, ale przecież nie można wszystkiego, co się wie, odrazu powtórzyć. Wszak ty to wiesz, droga matko — zakończył wiatr i tak gwałtownie uściskał matkę, jak to tylko nieokiełzany dzikus zrobić może.

Wkrótce przybył po nim wiatr południowy w zawoju na głowie i rozwianym arabskim burnusie.

— Ach, jakiż tu ziąb — zawołał i dorzucił drzewa do ogniska, — zaraz można poznać, że pierwszy zjawił się północny.

— Jest tu tak gorąco, że niedźwiedź polarny by się upiekł żywcem — zaprzeczył tamten.

— Sam jesteś niedźwiedziem polarnym! — wykrzyknął wicher południowy.

— Czy chcesz się dostać do worka? — zapytała go wtedy matka, aby przerwać spór. — Siadaj lepiej na kamieniu i opowiadaj, gdzieś przebywał.

— W Afryce, matko! Byłem z Hottentotami na lwich łowach w kraju Kaffrów. Jakaż tam rośnie wspaniała trawa! Pomykały w niej antylopy, a struś ścigał się ze mną, lecz okazałem się szybszy w biegu. Później poszedłem na żółtą, piaszczystą pu-

stynię, podobną do dna morskiego. Tam spotkałem karawanę. Właśnie ludzie, znękani skwarem, zabili ostatniego wielbłąda, szukając w nim wody, lecz znaleźli jej tylko troszkę. Z góry paliło słońce, a z dołu grzał rozpalony piasek. Wtedy zacząłem się w nim tarzać i podniosłem go wielkimi słupami do góry. Toż to był taniec. Możesz sobie wyobrazić matko, jak tulą się wtedy wielbłądy, a podróżni osłaniają zasypane piaskiem głowy. Ci rzucili się przedemną na twarz, jak przed Allahem, swym bogiem. Teraz są już pogrzebani, a nad nimi wznosi się wielkie wzgórze piaskowe. Gdy ich kiedy znów odwieję, wtedy słońce ujrzy tylko wybielone kości, a wędrowcy zobaczą, że i przed nimi byli tam już ludzie.

— A więc tylkoś zła narobił! — zawołała matka. — Idź za to do worka. — I zanim się wiatr południowy spotrzegł, chwyciła go za kark i wsadziła do środka. Uparciuch potoczył się w swem zamknięciu po ziemi, ale stara usiadła na worku, a wtedy musiał się uspokoić.

— Synowie twoi to prawdziwe zawadjaki — powiedział książę.

— Rzeczywiście — odpowiedziała stara — ale widzisz, jak ich potrafię uśmierzyć. Oto masz czwartego.

Był to wiatr wschodni, ubrany według chińskiej mody.

— No a cóżeś ty porabiał — zapytała go matka — myślałam, żeś był w ogrodzie rajskim.

— Polecę tam jutro — odparł przybyły. — Jutro upływa akurat sto lat od chwili, kiedy tam byłem ostatnio. Teraz wracam z Chin, gdziem tańczył wokół wież porcelanowych, dzwoniąc w wiszące na nich dzwoneczki. Podemną na placu zebrani byli wysocy urzędnicy różnych stopni, a pośrodku paru

mandarynów dostawało plagi bambusowymi kijami. Winowajcy krzyczeli: — stokrotne dzięki, o synu nieba, za taką łaskawość! Ale ja wiedziałem, że tak musieli krzyczeć, pomimo woli i dzwoniąc dzwonkami, śpiewałem im: — dzing, dzang, dzung. —

— Jednem słowem broiłeś po swojemu — rzekła matka. — Dobrze, że jutro lecisz do ogrodu rajskiego. Napijesz się tam ze źródła mądrości, to ci przysporzy rozsądku; a nie zapomnij zabrać flaszeczki tej wody dla mnie.

— Zrobię tak napewno — obiecywał wiatr wschodni. — Ale dlaczegoś zamknęła brata w worku? Wypuść go. Musi mi opowiedzieć o ptaku feniksie. Wiele razy jestem w ogrodzie rajskim, muszę o nim księżniczce opowiadać. Otwórz worek, najdroższa, dobra mateczko, a podaruję ci zato dwie pełne kieszenie herbaty tak świeżej jeszcze i zielonej, jakby dopiero co na miejscu była zerwana.

— Dobrze, dobrze, w części dla herbaty, trochę dlatego, żeś moim ulubieńcem, zrobię to. — I stara kobieta otworzyła worek, a wiatr południowy wydobył się stamtąd z niechętną miną, gdyż wstydził się trochę nieznajomego.

— Masz tutaj liść palmowy dla księżniczki — rzekł on po chwili bratu. — Dał mi go stary ptak feniks, jedyny na świecie. Wypisał na nim dziobem całe swoje stuletnie życie. Niech księżniczka sama to przeczyta. Widziałem, jak feniks sam podpalił swoje gniazdo i spłonął wraz z niem, niby indyjska wdowa. Płonące gałęzie syczały i trzeszczały śród dymu i zapachu ziół, aż wreszcie wszystko się rozwiało i z feniksa pozostała kupka popiołu. Lecz jego jajo, które leżało w ogniu rozpalone do czerwoności, pękło wtedy z hukiem i młode pisklę wyleciało na

swobodę. Obecnie jest ono królem ptaków i jedynym feniksem na świecie. Tutaj w rogu liścia masz wydziobany otworek. To pozdrowienie od młodego króla ptaków dla księżniczki.

— Dzieci, zabierajmy się wreszcie do jedzenia, — zawołała matka wichrów i wszyscy usiedli teraz razem i zabrali się do pieczonego jelenia. Książę zajął miejsce obok wiatru wschodniego i wkrótce czuli się, jak najlepsi towarzysze.

— Powiedz mi, proszę cię, — zaczął wypytywać książę — coto za księżniczka, o której tyle opowiadałeś i gdzie właściwie znajduje się ogród rajski?

— Oho! — zawołał wiatr wschodni, — jeśli chcesz to wiedzieć, to udaj się tam jutro ze mną. Lecz muszę ci dodać, że od czasów Adama i Ewy nie był tam jeszcze żaden człowiek. Wiesz to zapewne z opowiadań biblijnych?

— Tak, wiem — potwierdził książę.

— Kiedy ludzie zostali wtedy wygnani, zapadł się ogród rajski pod ziemię. Ale tam zachował on dalej swój blask słoneczny, swój rozkoszny klimat i całą wspaniałość. Zamieszkuje go królowa wróżek. Tam to znajduje się wyspa szczęśliwości dokąd śmierć nigdy nie dosięga. Siadaj mi jutro rano na ramiona, a zabiorę cię tam. Lecz na dziś dosyć już tego wszystkiego, noc jest późna, idźmy spać — dodał wiatr. — I wkrótce w jaskini wszyscy zasnęli.

Nazajutrz książę obudził się bardzo wcześnie i zdziwił się mocno, czując, że znajduje się wysoko w powietrzu. Niósł go na ramionach wiatr wschodni, przytrzymując ostrożnie, aby nie obudzić. Lasy, pola, łąki i wody widniały głęboko pod nimi, jak olbrzymia żywa mapa.

— Dzień dobry, — rzekł mu wiatr — możesz jeszcze troszkę pospać, gdyż tu w tym płaskim kraju nie zobaczysz nic ciekawego, chyba chciałbyś liczyć wieże kościelne. Wyglądają one, jak punkciki, zrobione kredą na zielonym obrusie.

— Martwię się, — rzekł książę, — żem nie pożegnał matki twej, ani braci.

— Bądź spokojny, kto śpi ten, nie grzeszy, — odparł wiatr i pomknął jeszcze szybciej. Bieg jego można było zauważyć po wierzchołkach lasów. Gdy nad nimi przelatywali, gięły się gałęzie i wstrząsały liście. A gdy nadbiegli nad morze, fale zaczęły się piętrzyć wysoko i wielkie okręty zanurzały się głęboko, to znów wznosiły na wodzie, jak płynące łabędzie.

Gdy wieczorem się ściemniło, wielkie miasta przedstawiały wspaniały widok. To tu, to tam lśniły one, rozsypane po ziemi, niby gniazda świateł. Wyglądało to, jak tysiące iskierek na spalonym papierze, kiedy dogasa i za chwilę w popiół się zamieni.

Książę klaskał z uciechy w dłonie tak, że aż wiatr prosił go, aby pilnował się i raczej trzymał mocno, bo mógłby upaść i zawisnąć na której z wież kościelnych.

Bo orzeł leci niesłychanie szybko, ale wiatr wschodni leciał jeszcze prędzej. — Teraz możesz już dojrzeć Himalaje — powiedział księciu, — jest to najwyższe pasmo gór w Azyi, a wkrótce będziemy blizko ogrodu rajskiego.

I wiatr skierował się trochę na południe, a wkrótce do obu podróżników doleciał od ziemi cudowny zapach kwiatów i ziół. Figi i granaty rosły tu wszędzie, a gałęzie winnej łozy uginały się pod ciężarem złotych i ciemnych jagód. Tutaj obaj opuścili

się na ziemię w miękką trawę, a kwiaty pokłoniły im się główkami, jakby pozdrawiały przybyłych.

— Czy już jesteśmy w rajskim ogrodzie? — zapytał książę.

— Nie, jeszcze nie, — odparł wiatr — lecz wkrótce tam będziemy. Czy widzisz tę ścianę skalną i otwór jaskini zakryty, niby firanką, splotami dzikiego wina? Tamtędy jest przejście. Owiń się w swój płaszcz, bo choć tutaj słońce pali, ale o krok dalej spotkasz już lodowate zimno. Ptak, któryby to miejsce mijał, kąpałby jedno skrzydło w upale lata, podczas gdy drugiem jużby znajdował się w chłodzie zimy, taką nagłą jest tam zmiana powietrza.

— A więc to jest droga do raju? — zawołał książę.

I wkrótce obaj weszli do jaskini. Rzeczywiście było tam nad wyraz zimno. Ale mróz trwał niedługo. Wiatr znowu rozpuścił skrzydła, a tutaj zalśniły one jakby były z ognia i książę wtedy zobaczył, coto była za zadziwiająca jaskinia.

Olbrzymie zwały kamieni, z których sączyła się woda, wznosiły się tu i owdzie, niby jakieś widma. Droga to się tak zwężała, że ledwo można było się przecisnąć, to znów grota stawała się tak obszerną, że sklepienie gubiło się w wysokości. Wtedy skały po bokach wyglądały jak skamieniałe organy, albo chorągwie w jakiejś opuszczonej katedrze.

— Idziemy zapewne drogą śmierci do tego ogrodu, — myślał książę, ale wiatr wschodni nie mówił ani słowa, tylko wskazywał przed siebie, gdzie zaczynało prześwitywać łagodne, błękitne światełko. Skały po bokach zaczęły się coraz bardziej oddalać, aż wreszcie zamieniły się w dalekie góry tak blade, jak obło-

czki przy świetle księżyca. Tu znów powiało wonne, łagodne powietrze, napełnione zapachem róż.

I oto wędrowcy znaleźli się nad rzeką przejrzystą, jak powietrze, gdzie pluskały się ryby srebrne i złote. Niektóre z nich świetnie purpurowe miały iskrzące, fioletowe plamki, a liście róż wodnych mieniły się barwami tęczy. Piękny, marmurowy most rzeźbiony, niby koronka, prowadził przez wodę na wyspę szczęśliwości, gdzie kwitł ogród rajski.

Wiatr wschodni wziął znów księcia na ramiona i przeniósł go na drugą stronę. Tam liście i kwiaty śpiewały najpiękniejsze historje z jego dzieciństwa, śpiewały tak cudownie, jak żaden głos ludzki tego nie potrafi.

Czyżby to były palmy, czy jakieś olbrzymie wodne rośliny, które tam rosły? Tak wielkich i grubych drzew nie widział jeszcze książę nigdy. Niby długie festony zwieszały się wkoło nich wijące rośliny, podobne z kształtu do tych, jakiemi malarze ozdabiali stare księgi podań, malując je farbami i złotem i oplatając niemi początkowe litery treści. Na tej cudownej wyspie książę widział najwspanialsze zbiorowisko ptaków, kwiatów i pnączy, zupełnie jak w owych książkach. W trawie stał cały tłum pawi z rozpuszczonymi, iskrzącymi ogonami i dopiero, gdy książę obejrzał je z blizka ujrzał, że to też są rośliny. Lwy i tygrysy pomykały, jak oswojone koty w gęstwinie, gdzie pachniało kwieciem migdałowem, gołębie, jak najpiękniejsze perły, spadały im prosto na grzbiety, a nawet bojaźliwe antylopy zbliżały się do nich, chwiejąc główkami, jakby chciały należeć do wspólnej zabawy.

Wreszcie zbliżyła się księżniczka raju. Szaty jej jaśniały, jak

słońce, a twarz miała wyraz tak łagodny, jak szczęśliwej matki, uradowanej z swego dziecięcia. Była ona młoda i piękna, a śliczne dzieweczki z lśniącemi gwiazdami na głowach szły za nią.

Wiatr wschodni dał jej liść feniksa i oczy księżniczki zajaśniały radośnie. Wzięła za rękę księcia i zaprowadziła go do zamku, którego ściany lśniły tak tęczowo, jak kielich tulipanu, gdy się weń pod słońce patrzy. Dach zamku był też jednym kwiatowym kielichem i im więcej się było weń wpatrywać, tem stawał się wyższym i bardziej niedoścignionym. Książę zbliżył się do okna i spojrzał przez szyby. I nagle zobaczył drzewo wiadomości i węża ze stojącymi pod niem Adamem i Ewą.

— Czyż oni nie są wygnani? — zapytał, a księżniczka uśmiechnęła się i wytłumaczyła, że to czas wypalił na każdej z szyb jedną z dawnych historji. Tylko obrazy te nie były nieruchome: liście drzew się tam poruszały, ludzie szli i przechodzili, jak w czarodziejskich widokach. Na ciemnej szybie zobaczył tak książę sen Jakóbowy, gdzie drabina sięgała nieba, a aniołowie o szerokich skrzydłach zstępowali i wchodzili na nią. Wszystko, co tylko kiedykolwiek działo się na świecie, widział książę tam na szybach, a były to cudowne obrazy, które czas tylko mógł utworzyć.

Gdy je już obejrzał, księżniczka, uśmiechając się, zawiodła go do wielkiej, wysokiej sali, której ściany wyglądały, niby olbrzymie malowidła. Były tam przedstawione miljony świętych ale twarze ich żyły, uśmiechały się i śpiewały, co tworzyło jedną wspaniałą melodję. Ci z nich, którzy znajdowali się najwyżej, byli maleńcy jak pączki róży. Pośrodku sali stało wielkie drzewo

ze zwieszającemi się gęstemi gałęziami. Złote jabłka wielkie i małe zwieszały się między niemi, jak pomarańcze. Było to drzewo wiadomości dobrego i złego, z którego kiedyś jedli owoc pierwsi rodzice. Z każdego z jego liści sączyły się powoli ciężkie, purpurowe krople, co wyglądało, jakby drzewo płakało krwawemi łzami.

— Wejdź ze mną do łodzi — rzekła księżniczka — woda nas orzeźwi. I łódź poczęła się kołysać, ale — o dziwo! nie ruszała się z miejsca, tylko brzegi wraz ze wszystkimi krajami świata same zaczęły ich mijać.

Więc najpierw przesunęły wysokie, okryte śniegami Alpy z obłokami i ciemnemi jodłami na zboczach; róg pasterski dźwięczał gdzieś przeciągle i pasterze śpiewali w dolinie. A potem zwisły nad rzeką bananowe drzewa, czarne, jak węgiel, łabędzie przepłynęły po wodzie, a osobliwe jakieś zwierzęta pokazały się na brzegu. To była Nowa Holandja, piąta część świata, która przesunęła się na tle błękitnych w oddali gór. I książę usłyszał śpiew dzikich kapłanów i dojrzał taniec wojowników przy dźwięku trąb drewnianych i kościanych piszczałek. Za tym obrazem spieszyły egipskie piramidy, sięgające obłoków, obalone obeliski i sfinksy, napół zasypane piaskiem. Za niemi zorza północna zapaliła się między lodowcami północy. Był to fajerwerk, jaki trudno opisać. Książę był nadzwyczaj wszystkiem uszczęśliwiony, widział bowiem to znacznie piękniej, niż tu opisać można.

— Czyż mogę tu na zawsze pozostać? — zapytał wreszcie.

— To tylko od ciebie zależy — odpowiedziała wróżka — dopóki tak, jak Adam, nie przestąpisz zakazanego, będziesz mógł pozostać w raju.

— O, nie zerwę nigdy jabłka z drzewa wiadomości! — zawołał książę. — Jest tu przecież tyle owoców taksamo pięknych, jak tamte.

— Wypróbuj się sam, a jeślibyś się nie czuł dość wytrwałym, wracaj dziś z wiatrem wschodnim — dodała jeszcze wróżka. — Wiatr powróci dopiero po stu latach. Czas ten upłynie tutaj jak tyleż godzin zwykłych, ale aby zgrzeszyć, na to nie trzeba wiele. Co wieczór będę cię wołała, abyś poszedł za mną, ale nie słuchaj tego. Nie idź wtedy za mną, bo z każdym krokiem wzrastać będzie twa ciekawość. Tak zaszedłbyś do sali, gdzie rośnie drzewo. Tam ujrzałbyś mnie śpiącą pod niem i uśmiechającą się przez sen. Ale gdybyś się wtedy nachylił i pocałował mnie w usta, zapadłby się cały raj głębiej pod ziemię i straciłbyś go na zawsze. Pochwyciłby cię gwałtowny wicher pustyni, a zimny deszcz zsiekłby włosy. Smutny, pełen udręki byłby wtedy twój dalszy los.

— Pozostanę — rzekł książę, a wiatr wschodni ucałował go w czoło i dodał: — bądź wytrwały, spotkamy się tu znów po stu latach. Bądź zdrów, bądź zdrów. — I wiatr wschodni rozpuścił swe wielkie skrzydła, lśniące jak ciche błyskawice podczas żniw, albo jak zorza północna w zimie.

— Bądź zdrów, bądź zdrów, — szeptały kwiaty i drzewa. Bociany i pelikany leciały za nim aż do wrót raju, długą wstęgą odprowadzając przybysza.

— Teraz zaczniemy znów swoje rozrywki — rzekła wróżka. — A kiedy słońce zajdzie, zobaczysz mnie, jak będę ci wskazywała drogę za sobą, usłyszysz, jak cię będę wołała, ale wtedy pozostań na miejscu. Przez sto lat usłyszysz codzień to samo. A po

każdem przezwyciężeniu będziesz się stawał silniejszym i wreszcie przestaniesz zwracać uwagę na pokusy. Dziś zdarzy ci się to po raz pierwszy i dlatego cię ostrzegam.

Poczem wróżka zaprowadziła księcia do sali pełnej białych przeźroczych lilji, których pręciki tworzyły maleńkie, złote harfy, brzmiące cudownie. Tańczyły tam piękne dziewczątka, odziane w powiewające girlandy, śpiewając o szczęśliwości tych, którzy nie umierają, i o pięknościach wiecznie kwitnącego raju.

Słońce powoli zaszło, a wtedy całe niebo zalśniło od gwiazd, niby złote morze, a lilje zamieniły się powoli w najwspanialsze róże. Książę, pijąc szumiące wino, które mu podawały dziewczęta, czuł się tak radosnym, jak nigdy. I wtedy zauważył, jak rozwiera się powoli głębia sali. Zalśniło tam drzewo wiadomości w całym blasku, oślepiając księciu oczy, a śpiewy, które stamtąd szły, były słodkie i dobre, jak głos jego matki, która zdawało mu się, że śpiewa: „Mój synu, mój ukochany synu!"

Wtedy wróżka skinęła na niego i rzekła łagodnie: — pójdź za mną. I książę rzucił się za nią, zapominając ostrzeżenia, zapominając je już pierwszego wieczora. Zapachy wokoło stawały się coraz bardziej oszałamiające, harfy dźwięczały coraz słodziej, a miljony świętych głów w sali, gdzie stało drzewo, jakby pochylały się, śpiewając: Wszystko trzeba poznać, bo człowiek jest panem ziemi. Z liści drzewa nie sączyły się już, jak poprzednio, ciężkie, krwawe łzy; teraz były to purpurowe, lśniące gwiazdy. Pójdź za mną, pójdź, — dźwięczały wszystkie głosy, a za każdym krokiem krew żywiej krążyła w księciu i mocniej barwiły się mu policzki.

— Muszę iść — szeptał sobie — toć to jeszcze nie grzech.

Któż nie pójdzie za pięknością i dobrocią? Muszę tylko zobaczyć, jak wróżka śpi. Nic się nie stanie, dopóki jej nie pocałuję, a na to mam przecież swą mocną wolę.

Tymczasem wróżka, stojąca pod drzewem, zrzuciła lśniącą szatę i za chwilę potem znikła w gęstwinie gałęzi. — Jeszcze nie zgrzeszyłem — mówił książę — i napewno nie zrobię tego.

I rozchylił gałęzie. Wróżka tam spała, wyglądała tak pięknie, jak tylko wróżki mogą w raju wyglądać i uśmiechała się we śnie.

Książę nachylił się nad nią i dostrzegł łzy na jej rzęsach.

— Czyż płaczesz za mną? — wyszeptał książę. — Teraz dopiero czuję, jak całe szczęście raju przenika me ciało i choćby mnie miała potem noc ogarnąć, taka jedna chwila warta jest tego. — I zcałował książę łzy z jej oczu, a potem dotknął ustami jej ust.

Nagle rozległo się przeraźliwe uderzenie gromu i wszystko gdzieś runęło ze straszną siłą; piękna wróżka i kwitnący raj zapadał się coraz głębiej: książę uczuł się ogarnięty przez nieprzeniknioną noc, w której migotała tylko jedna daleka gwiazda. Wtedy ogarnęło go śmiertelne omdlenie i długi czas przeleżał jak martwy.

Dopiero zimny deszcz, siekący mu twarz, i gwałtowny wicher ocuciły go znowu. — Co uczyniłem — jęknął wtedy — zgrzeszyłem jak Adam, który utracił raj na zawsze!

Tak biadając, otworzył książę oczy; gwiazda, która świeciła zdaleka, jak utracony raj, była gwiazdą poranną. Wtedy książę wstał i zobaczył, że jest tuż obok jaskini wichrów. Matka ich, gniewnie spoglądając na niego, wzniosła groźnie ręce w górę.

— Już pierwszego wieczora! — zawołała. — Takem przypuszczała. O, gdybyś był moim synem, dostałbyś się napewno na długo do worka!

— To go nie ominie — rzekła obok stojąca śmierć. Był to silny, stary mężczyzna z kosą i wielkiemi, czarnemi skrzydłami. — Kiedyś włożę go do trumny. Ale teraz zostawiam mu jeszcze trochę czasu, aby, błąkając się po świecie, rozpamiętywał swój grzech; kiedy go już przeboleje, poniosę go w trumnie wysoko do tej gwiazdy. I tam jest cichy, piękny ogród, a jeśli na to zasłuży, tam pozostanie. Jeżeli jednak serce jego nie będzie wtedy czyste, strącę go wraz z trumną głębiej, niż zapadł jego raj, aby znów kiedyś po lat tysiącach do gwiazdy go podnieść, lub strącić jeszcze głębiej.

SYRENA.

Daleko stąd, na pełnem morzu woda jest błękitna, jak najpiękniejsze bławatki i tak przejrzysta, jak najczystsze szkło, ale głębi, jaka się tam rozpościera, nie zmierzyłaby żadna kotwiczna lina; trzebaby chyba wiele wież kościelnych ustawić jedne na drugich, aby sobie podobną głębię wyobrazić. Tam to właśnie mieszka lud morski.

Nie należy jednak przypuszczać, że na dnie leży szczery bieluteńki piasek; jak z ziemi, wyrastają z dna wody, najdziwniejsze jakby drzewa i rośliny, tak giętkie i wijące się, że przy najlżejszym podwodnym prądzie poruszają się, jak żywe stworzenia. Między ich gałęźmi przemykają się najprzeróżniejsze ryby małe i duże, zupełnie taksamo, jak ptaki w powietrzu.

Na najgłębszem miejscu stoi tam zamek króla mórz; ma on koralowe mury a wysokie, ostrołukowe okna z przeczystego bursztynu, dach zaś składa się z samych żywych muszel, które od prądu wody otwierają się i zamykają. Taki dach wygląda wspaniale, bo w muszlach spoczywają lśniące perły, z których każda mogłaby być na ziemi ozdobą, godną królewskiej korony.

Zdarzyło się przed laty, że władca tych wspaniałości, król

morski, owdowiał i stara jego matka zajmowała się wszystkiemi sprawami królewskiego domu. Była to mądra kobieta, dumna jedynie z tego, że jej wiek i obowiązki pozwalały ozdabiać ogon aż dwunastoma skorupkami ostryg, co było najwyższą odznaką, gdyż wszystkie inne znakomite osoby nosiły ich tylko po sześć. Matka króla mórz zasługiwała na największy szacunek choćby dlatego, że opiekowała się z jaknajczulszą miłością i bacznością maleńkiemi księżniczkami morza, swojemi wnuczkami.

Było ich sześć, prześlicznych dziewczynek, lecz najpiękniejszą była najmłodsza, o ciele różowem, jak płatek róży i oczach koloru głębin morskich; tylko że i ona tak, jak wszyscy nie miała nóżek i ciało jej zwężało się ku dołowi w wysmukły rybi ogon.

Dzieci mogły cały boży dzień bawić się w rozległych salach zamku, gdzie wszędzie ze ścian wyrastały żywe morskie kwiaty. Wielkie, bursztynowe okna rozwarte były na oścież i przez nie zapędzały się do wnętrza ryby tak, jak jaskółki, które wpadają czasem przez okna do pokoju. Ryby te podpływały do maleńkich księżniczek, pozwalały karmić się z ręki i głaskać.

Na zewnątrz zamku znajdował się wielki ogród, pełen ciemnobłękitnych i ognistych drzew, owoce ich błyszczały, jak złoto, a kwiaty jarzyły się jak płomienie przy nieustannem zginaniu się i ruchu wiotkich gałęzi. Rosły one z piaskowego dna, które było błękitne, jak płomyki siarki; nad wszystkiem zaś unosił się osobliwy, błękitnawy blask. Było tam tak, jak gdyby człowiek się unosił wysoko w powietrzu i nie widział naokoło siebie nic, prócz nieba. Gdy cisza zupełna panowała wysoko na powierzchni

wody, wtedy widać było ze dna słońce. Przeglądało ono przez głębiny, niby wielki purpurowy kwiat, z którego kielicha lało się złagodzone światło.

Każda z maleńkich księżniczek miała swoje miejsce w ogrodzie, gdzie podług swojej chęci i pomysłu mogła uprawiać grządki i sadzić morskie kwiaty. Jedna więc nadała swej grządce kształt wieloryba: ciało jego składało się z ciemnych porostów wodnych, a z głowy wyrastały dwie wspaniałe błękitne, chwiejne rośliny, piętrzące się, jak strumienie wody nad prawdziwem zwierzęciem. Grządka innej znów miała kształt pięknej syreny. Tylko najmłodsza uczyniła swoją okrąglutką, na kształt słońca, a kwiaty, które ją pokrywały, lśniły tak purpurowo, jak ono.

Najmłodsza księżniczka znacznie odróżniała się od pozostałych sióstr. Było to ciche, zamyślone dziecko i podczas kiedy inne stroiły się w najprzeróżniejsze rzeczy, znalezione w zatopionych okrętach, ona prócz purpurowych kwiatów, przypominających wysokie słońce, miała tylko piękny posąg, wyobrażający ślicznego młodzieńca. Posąg wykuty był z śnieżnego marmuru i niegdyś zatonął razem z wiozącym go statkiem, teraz był jej własnością i dziewczynka zasadziła przy nim różową, morską, płaczącą wierzbę. Drzewo rosło wspaniałe. Drżące jego gałęzie zwieszały się aż do piaszczystego dna, poruszając się ciągle razem z odbitym fioletowym cieniem.

Za największą przyjemność uważała najmłodsza księżniczka słuchanie opowiadań o ludzkim świecie. Babka musiała jej wszyściutko opowiadać, co tylko wiedziała, o miastach, okrętach, dziwnych zwierzętach i ludziach. Najwięcej jednak zachwycało ją to, że kwiaty ziemi pachną, lasy są zielone, a rybki, które

tam między gałęźmi przelatują, śpiewają tak, że możnaby je było słuchać całemi godzinami. Ma się rozumieć, że babka mówiła w ten sposób o ptakach, gdyż inaczej nie mogłyby ich sobie wyobrazić jej maleńkie wnuczki, które jeszcze nigdy prawdziwych ptaków nie widziały.

Z chwilą, gdy skończysz piętnaście lat, będzie ci wolno wypływać na powierzchnię, siadywać na rafach przy blasku księżyca i oglądać przepływające wielkie okręty. Lasy i miasta też wtedy poznasz z daleka — kończyła babka swe opowiadania.

Następnego roku jedna z sióstr skończyła piętnaście lat, lecz była to najstarsza, i najmłodsza księżniczka pomyślała ze smutkiem, że jeszcze całe pięć lat będzie musiała oczekiwać swej kolei.

Wszystkie księżniczki były ciekawe tego, co poraz pierwszy na powierzchni ujrzą i jedna po drugiej obiecywały dzielić się po powrocie pierwszemi wrażeniami, lecz najbardziej stęsknioną była najmłodsza, z natury cicha i zamyślona, której tyle jeszcze lat czekania pozostało. Niekiedy stawała ona nocą w rozwartem oknie pałacu i wpatrywała się w ciemno-modre tonie wody, którą ryby cicho zamącały szybkiemi poruszeniami; widziała wtedy księżyc i gwiazdy; przez wodę przeglądały one powiększone i zupełnie białe. Od czasu do czasu tylko między niemi a patrzącą księżniczką, przesuwał się duży cień, niby ciemny obłok; był to albo przepływający górą wieloryb, albo okręt, napełniony ludźmi. Ale ludziom tym ani przez myśl nie przemknęło, że piękna księżniczka morza tęskni głęboko na dnie wody i wyciąga napróżno białe ręce za oddalającym się sterem statku.

Pewnego dnia najstarszej siostrze dozwolono wypłynąć na

powierzchnię wody. Gdy powróciła, opowiadała niezliczone cudowne rzeczy. — Lecz co było najpiękniejsze — powtarzała — to leżenie w księżycową noc na ławicy piasku pośród spokojnego morza i przyglądanie się wielkiemu miastu, które zdaleka widać było na wybrzeżu. Światła tam błyszczały, jak setki gwiazd, słychać było dźwięki muzyki, gwar, turkot i szmer ludzki, a nad tem wszystkiem wznosiło się mnóstwo wież i wieżyczek, z których niekiedy odzywał się głos dzwonów.

Z największą ciekawością przysłuchiwała się opowiadającej najmłodsza, która wiedziała, że nieprędko jeszcze coś podobnego zobaczy. I gdy potem wieczorem stanęła w rozwartem oknie i spojrzała na ciemno-błękitną toń, wszystkie jej myśli pobiegły za tym oddalonym gwarem i szumem miejskim i aż jej się nakoniec wydało, że słyszy dźwięki dzwonów, dobiegające na dno wody.

Następnego roku znów jedna z sióstr wypłynęła na powierzchnię morza. Stało się to akurat podczas zachodu słońca. Niebo całe wyglądało jak złote, — opowiadała potem — a piękność obłoczków trudno wprost opowiedzieć. Purpurowe i fioletowo błękitne płynęły nad jej głową i nagle jak długa, biała wstęga przeleciał prędzej niż obłoki sznur dzikich łabędzi w stronę tonącego w morzu słońca. Łabędzie leciały szybko, ale słońce prędzej tonęło i wkrótce tylko odblask różowy pozostał po niem na obłokach i na zwierciadle gładkiego morza.

I znów następnego roku wypłynęła trzecia z sióstr. Ta była najśmielszą i zapuściła się aż w ujście szerokiej rzeki, wpadającej do morza. Tam ujrzała na brzegach przepiękne zielone wzgórza, pokryte dojrzałym winogradem. Zamki i różne budowle

przeglądały zdala przez odstępy między gęstymi lasami. Słyszała, jak śpiewają ptaki, a słońce grzało tak mocno, że musiała się co chwila zanurzać, aby ochłodzić rozpaloną twarz. W niedużej zatoczce napotkała tam cały rój małych dzieci, biegały one nago i pluskały się w wodzie, ale gdy zechciała się pobawić, — przerażone uciekły, a małe, czarne zwierzę tak zaczęło głośno na nią z brzegu ujadać, że straciła całą odwagę i wróciła na pełne morze. Ale nie zapomni nigdy ani pięknych pagórków, ani zamków i lasów, ani tych małych ślicznych istotek, które tak dobrze pływały, choć nie miały rybich ogonów.

Czwarta siostra nie była tak odważną, wolała pozostać na pełnem morzu. Tam wzrok biegnie bez przeszkód na całe mile wokoło, a niebo stoi nad wodą, jak wielka kryształowa kopuła. Widziała okręty, ale bardzo daleko, wyglądały one jak wybrzeżne mewy, wesołe delfiny wyrzucały ogonami fontanny wody, wieloryby wytryskiwały przez nozdrza całe strumienie, tak, że naokoło pełno było nadzwyczajnych wodnych rozrywek.

Wreszcie wypłynęła z kolei piąta siostra. Urodziny jej wypadały w zimie, i dlatego widziała ona zupełnie co innego, niż jej siostry. Morze było zupełnie zielone, a naokoło pływały wielkie lodowce, a wszystkie lśniły śnieżnie, jak perła, i były większe, niż wieże kościelne, które ludzie budują. Pojawiały się one jak niesłychane widma i błyszczały po krawędziach, jak djamenty. Piąta siostra usiadła na największym z nich, a wszystkie żaglowce umykały pospiesznie przed tym tronem, gdzie wiatr rozwiewał jej długie włosy. Wreszcie pod wieczór niebo zaciągnęło się chmurami, błyskało się i grzmiało, a poczerniałe morze podnosiło wysoko na grzbiecie jasne od błyskawic góry lodowe.

Na wszystkich płynących okrętach ściągnięto żagle, panowało na nich przerażenie, podczas gdy ona siedziała spokojnie na płynącym lodowcu i patrzyła, jak białe strzały błyskawic padały w szumiące wody.

Każda z sióstr, gdy wynurzyła się po raz pierwszy, była czemś wyjątkowo zachwycona, ale ponieważ potem już jako dorosłe syreny, mogły to powtarzać, kiedy chciały, oswoiły się wkrótce z temi nowościami i po upływie miesiąca rzekły sobie, że tam na dnie jest najpiękniej i że najlepiej jest w rodzicielskim domu.

Niekiedy wieczorem wszystkie pięć sióstr splatały wzajem ręce i wypływały sznurem nad wodę. Śpiewały one pięknie, daleko piękniej niż ludzie, i gdy nadciągała burza, i siostry przypuszczały, że wkrótce zaczną tonąć żeglujące okręty, wypływały przed nimi i śpiewały czarująco o pięknościach dna morskiego, prosząc marynarzy, aby się nie lękali pogrążyć na dno. Lecz ci nie rozumieli ich słów, myśleli tylko o tem, że nadciąga burza, a zresztą nie ujrzeliby nigdy morskich wspaniałości, gdyż jako ludzie — tonęli, i tylko trupy ich trafiały do zamku króla mórz.

Gdy tak wieczorami ramię przy ramieniu siostry zwiedzały morza, najmłodsza pozostawała sama, spoglądając tylko za niemi, a wtedy czuła, że zbiera się jej na płacz. Ale syreny nie znają łez i dlatego cierpiała wtedy tembardziej.

— O, gdybym już miała piętnaście lat — wzdychała syrena — wiem, że potrafiłabym ukochać i ten świat, tam wysoko i ludzi, którzy tam żyją.

Wreszcie skończyła swoje lat piętnaście. — Oto jesteś już do-

rosła, — powiedziała jej babka. — Pójdź więc, abym cię ustroiła taksamo, jak twoje siostry. I włożyła jej na głowę wianuszek z białych lilji, lecz każdy kwiat był tam połówką olbrzymiej perły, potem zaczęła przymocowywać jej do ogona jedną po drugiej, sześć skorupek ostryg, co miało oznaczać jej znakomite pochodzenie.

— To sprawia ból — powiedziała przytem księżniczka.

— Tak, etykieta dworska zawsze ma swoje przykre strony — odparła babka.

Biedna księżniczka! onaby z chęcią zrzekła się tych odznaczeń i pozbyła ciężkiego wianka. Purpurowe kwiaty z ogródka przystroiłyby ją lepiej, ale cóż można było na to poradzić? Westchnęła więc tylko, szepnęła — do zobaczenia — i za chwilę lekko i cicho wypłynęła nad wodę.

Gdy znalazła się nad powierzchnią, słońce ledwo co zaszło, lecz obłoki płonęły jeszcze czerwienią i złotem, w blado-różowem powietrzu lśniła przeczyście gwiazda wieczorna, powietrze było łagodne i orzeźwiające i żaden najlżejszy podmuch nie mącił powierzchni wody.

Niedaleko stał wielki trzymasztowiec, z jednym tylko maleńkim, rozwiniętym żaglem, którego wiatr wcale nie poruszał, a na całym pokładzie i wkrąg wielkiego masztu siedzieli, odpoczywając, marynarze.

Słychać było stamtąd muzykę i śpiewy, a kiedy zapadł wieczór, zapalono setki kolorowych latarni. Syrena podpłynęła wtedy aż do okna kajuty i za każdym razem, gdy ją woda lekko podnosiła, zaglądała przez przezrocze szyby do wnętrza, gdzie stało wielu postrojonych ludzi, a pomiędzy innymi najpiękniejszy młody

książę, o wielkich, czarnych oczach. Młody książę mógł mieć nie więcej nad szesnaście lat i jego to zapewne urodziny obchodzono z taką uroczystością na statku. Na pokładzie tańczyli teraz marynarze, a gdy książę wyszedł do nich, całe snopy rakiet wytrysnęły naraz w powietrze. Lśniły one, jak jasny dzień, tak, że syrena przerażona skryła się pod wodę. Ale wkrótce wyjrzała stamtąd i wtedy wydało się jej, że wszystkie gwiazdy spadają z nieba. Nie widziała bowiem dotąd ogni sztucznych. A tu wielkie słońca obracały się z sykiem wkoło, wspaniałe ogniste ryby wylatywały w powietrze, a wszystko to odbijało się drżąco w cichem, czystem morzu. Na samym zaś statku było tak jasno, że można było doskonale widzieć nietylko ludzi, ale najdrobniejsze liny. O, jaki piękny był młody książę; dziękując, ściskał serdecznie ludzi za ręce, a muzyka brzmiała ciągle w ciszy wspaniałej nocy.

Było już późno bardzo, a syrena ciągle jeszcze nie mogła oderwać oczu od okrętu, wiozącego pięknego księcia. Kolorowe latarnie pogasły powoli, rakiety nie przerzynały już więcej powietrza, ucichły wystrzały armatnie, ale zato w głębi morza zaczęło coś szumieć i pomrukiwać. Syrena siedziała na kołyszącej się coraz silniej wodzie, która raz poraz to ją podnosiła aż do okna kajuty, to opadała z nią razem, kołysząc jak huśtawka. Wreszcie okręt zaczął biedz szybko przez podnoszące się fale, żagle rozwijały się na nim jedne po drugich, woda falowała coraz silniej, czarne chmury zbliżały się po niebie. Wkrótce miała wybuchnąć straszliwa burza. Już marynarze pozwijali z powrotem żagle. Wielki okręt kołysał się w szybkim biegu na wzburzonem morzu; woda szumiała, podobna do coraz wyższych,

czarnych gór i uderzała w okręt, przelewając się przez pokład, ale statek pogrążał się tylko, jak łabędź między wysokiemi falami i znów pojawiał się na spiętrzonej toni. Syrena towarzyszyła mu jak zwykle, uważając burzę za igraszkę. Inaczej patrzyli na nią marynarze. Okręt jęczał i trzeszczał, grube belki gięły się przy uderzeniach fal, a wreszcie wielki maszt złamał się tak, jakby był cienką trzciną i okręt przechylił się pod jego ciężarem na bok, a woda zaczęła wlewać się do wnętrza; wtedy syrena dostrzegła, że przerażona załoga krzątać się zaczęła, ona sama nawet musiała się wystrzegać teraz belek i różnych sprzętów, które woda zaczęła porywać z okrętu.

Naraz na chwilę zrobiło się tak ciemno, że nic zupełnie dostrzedz nie było można, ale wkrótce zajaśniała jaskrawa błyskawica i wtedy syrena dojrzała, co się stało ze statkiem: ludzie ratowali się tam, jak kto mógł. Syrena przedewszystkiem szukała młodego księcia i dostrzegła go, kiedy okręt zaczął już tonąć.

W pierwszej chwili ucieszyło ją to, że książę dostanie się do niej pod wodę, ale zaraz przyszło jej na myśl, że nie będzie mógł tam żyć i tylko martwy dostanie się do zamku jej ojca. — Nie, książę nie powinien umrzeć — pomyślała. I mała syrena popłynęła między rozbite belki i tarcice, które fale unosiły, zapominając o własnem niebezpieczeństwie, zanurzając się głęboko pod wodę, to znów wypływając na wzburzoną powierzchnię. Wreszcie natrafiła na młodego księcia, który ledwo już mógł utrzymać się o własnych siłach. Ręce i nogi zaczynały mu mdleć, piękne oczy przymknęły się, będzie musiał umrzeć, jeżeli go ktoś nie wyratuje. Wtedy syrena uniosła mu głowę nad wodę i pozwalała się unosić falom tam, dokąd się toczyły.

Nad ranem burza się uspokoiła. Z okrętu nie pozostało już ani śladu. Nad wodą pokazało się czerwone, jarzące słońce; przy jego świetle zdało się, że policzki księcia zaczynają się rumienić, lecz oczy miał dalej zamknięte. Syrena ucałowała go w wyniosłe, piękne czoło i odgarnęła wtył mokre włosy. I wydało się jej, że książę coraz bardziej przypomina marmurowy posąg z ogródka. Więc całowała go jeszcze i jeszcze, jakby chcąc mu tem życie powrócić.

Wreszcie zdala pokazał się ląd; wysokie, błękitne góry z wierzchołkami, ubielonymi śniegiem, wyglądały niby sznur białych łabędzi. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się piękne, zielone lasy, a na ich tle widać było jakiś kościół czy klasztor, którego zdaleka nie można było dokładnie odróżnić. W ogrodzie, otaczającym budowlę, rosły cytrynowe i pomarańczowe drzewa, a u wejścia widniały rozłożyste palmy.

Morze w tem miejscu tworzyło małą, o zupełnie gładkiej wodzie zatokę, zakończoną ławicą bieluteńkiego piasku. Tam więc wpłynęła syrena z nieprzytomnym księciem i ułożyła go wygodnie, uważając, aby głowę ogrzewały mu słoneczne promienie.

Nagle w białym budynku za ogrodem odezwały się dzwony i do ogrodu wybiegła gromada dziewcząt. Wtedy syrena odpłynęła trochę dalej i ukryła się za kamieniem, wystającym z wody, okryła się pianą wodną, aby nikt nie mógł dostrzedz jej ślicznej twarzyczki i uważała, co się stanie z biednym księciem.

Wkrótce jedna z młodych dziewcząt zbliżyła się w tę stronę. Gdy dostrzegła młodzieńca, przeraziła się zrazu, lecz po chwili zawołała ludzi i wtedy syrena zobaczyła, że książę przychodzi

jednocześnie do przytomności i uśmiecha się do otaczających. Tylko do niej, która go uratowała, nie uśmiechnął się ani razu, dlatego, że jej nie mógł dostrzedz i nic o niej nie wiedział. Wtedy syrenę ogarnął smutek i, podczas gdy księcia prowadzono powoli w stronę białego budynku, zanurzyła się rozżalona w morze i wróciła do zamku ojcowskiego.

Mała księżniczka była zawsze małomówną, ale teraz stała się jeszcze cichszą i bardziej zamyśloną. A gdy ją siostry pytały, co ujrzała po raz pierwszy na powierzchni, nie odpowiedziała im nic na to.

Co wieczór i co rano płynęła teraz syrena do miejsca, gdzie pozostawiła księcia, a przez ten czas owoce w ogrodzie klasztornym dojrzały i zostały zebrane, potem śniegi coraz gęściej rozpostarły się na górach, lecz księcia nie ujrzała już wcale i coraz smutniejsza wracała do domu. Jedyną jej rozrywką było wtedy przesiadywanie w ogródku z rękoma oplecionemi dookoła marmurowego posągu tak podobnego do księcia. Kwiaty, nie tak już teraz starannie pielęgnowane jak dawniej, rozrosły się powoli jak w puszczy i posplatały swe łodygi z gałęźmi wierzby, od czego naokoło pod drzewem zrobiło się prawie ciemno.

Wreszcie kiedyś mała księżniczka, nie mogąc dłużej taić swego smutku, opowiedziała jego przyczynę jednej z sióstr, od tej zaś dowiedziały się wszystkiego inne, lecz nikt więcej tylko one i parę najbardziej zaufanych innych syren, które to znów powtórzyły pod sekretem swoim przyjaciółkom. Jedna z ostatnich wiedziała coś o księciu, spotkała też jego okręt, płynący w dniu urodzin młodego władcy, wiedziała, gdzie teraz przebywa i gdzie znajdowało się jego księstwo.

— Pójdź, siostrzyczko, — powiedziały wtedy syreny i splótłszy ramiona, wypłynęły sznurem na powierzchnię tam, gdzie stał zamek młodego księcia.

Zamek zbudowany był cały z jasno żółtawego, lśniącego marmuru i miał szerokie schody, prowadzące do morza. Wspaniałe, złote kopuły wznosiły się nad dachami, a między szeregiem kolumn, otaczających całą budowlę, stały marmurowe posągi, niby jakieś żywe, piękne istoty. Przez duże szyby wysokich okien widać było wspaniałe sale, gdzie jedwabne obicia okrywały ściany, ozdobione różnemi malowidłami. Pośrodku zamku w głównej sali biła wysoko fontanna, sięgająca strumieniem wody aż prawie do szklanej kopuły w dachu, skąd promienie słońca padały w dzień na jej krople i na wspaniałe rośliny, ustawione naokoło.

Teraz więc wiedziała księżniczka morza, gdzie mieszka młody władca i odtąd co wieczór i co noc ukazywała się w pobliżu na wodzie. Podpływała nawet tak blizko do brzegu, jak inne tego uczynić nie śmiały, wpływała do wązkiego, ogrodowego kanału, aż pod marmurową altanę, rzucającą na wodę wydłużony, dziwaczny cień. Stamtąd spoglądała długo na młodego księcia, gdy w noce księżycowe siedział tam i myślał, z oczyma wzniesionemi ku gwiaździstemu niebu.

W niektóre znów wieczory widziała go w bogato ubranej flagami łodzi, jak płynął przy dźwiękach muzyki. Syrena kryła się wtedy w zielonem sitowiu i gdyby ją kto wtedy zobaczył, jak wiatr rozwiewał jej srebrnobiałą zasłonę, pomyślałby, że to dziki łabędź, zrywający się w trzcinach do lotu.

Niekiedy mała syrena podsłuchiwała rozmowy rybaków,

łowiących w morzu ryby, przy świetle pochodni. Z rozmów tych dowiedziała się, co ci ludzie mówią o księciu i jak go za jego dobroć sławią i wtedy cieszyła się, że mu ocaliła życie i przypominała sobie, jak jego półomdlała głowa leżała w jej rękach i jak ją całowała, chcąc życie przywrócić. O tem jednak on nic nie wiedział i nie mógł nigdy o niej pomyśleć.

Coraz bardziej syrena zaczynała kochać ludzi i coraz silniej pragnęła z nimi przebywać, bo ich świat wydawał jej się daleko piękniejszym i obszerniejszym, niż jej własny. Księżniczka morza chciała żeglować okrętem, wdrapywać się na wysokie góry, sięgające aż pod obłoki, zwiedzać lądy, lasy i pola na nich leżące, wszędzie, dokąd tylko oczy zaprowadzić mogły. Pragnień tych było tak wiele, że siostry nie mogły nawet na wszystkie jej pytania dobrze odpowiedzieć, więc zwracała się wtedy do babki, która tamten świat znała doskonale.

— Prawda babuniu, że człowiek, jeśli nie utonie, żyje wiecznie, nie tak jak my tutaj na dnie?

— O nie, — odpowiadała tamta — ludzie też umierają, żyją nawet krócej, niż my. My dopiero po trzystu latach, lub tylko wtedy, jeśli to jest naszą jedyną wolą, zamieniamy się w pianę wodną i dlatego nie mamy nigdy na dnie grobu między swymi blizkimi. My nie mamy nieśmiertelnej duszy, nie możemy odrodzić się na nowo i podobni jesteśmy do zielonych trzcin, które raz ścięte, nigdy już nie zielenią się na nowo. Ludzie zaś mają nieśmiertelną duszę, która istnieje nawet wtedy, gdy ciało dawno już w ziemi spoczywa. Wtedy ich dusze unoszą się w przestworza aż do lśniących gwiazd. Tak jak my, wypłynąwszy z wody, oglądamy miasta ludzkie, tak dusze ludzi unoszą się

w górę, do jakichś cudownych, zaświatowych grodów, które oglądać nam nie sądzono.

— Dlaczego my nie mamy dusz nieśmiertelnych? — pytała zasmucona mała syrena. — Chętnie oddałabym setki lat swego życia, aby choć na jeden dzień stać się człowiekiem i módz się potem dostać do niebiańskich krajów.

— O tem nie myśl nawet — odparła babka — my jesteśmy daleko lepsi i szczęśliwsi, niż ci ludzie tam wysoko.

— A więc i ja umrę i będę błąkać się jako piana po morzu, nie słysząc już więcej śpiewu fal, nie widząc kwiatów i purpurowego słońca? Czyż nie można na to nic poradzić, aby otrzymać duszę nieśmiertelną?

— Nie — odpowiedziała babka — chyba, że jaki człowiek tak cię ukocha, że staniesz mu się droższą, niż własni rodzice, tak, że cała miłość jego i zaufanie do ciebie tylko będą należały, i jeśli ten człowiek cię zaślubi, przysięgając ci na całą wieczność; wtedy dusza jego stanie się też i twoją i będziesz dopuszczona do udziału w przyszłem szczęściu człowieczem. Lecz to się nigdy jeszcze nie wydarzyło. To, co tu w morzu uważane jest za wdzięk, twój ogon rybi, zawsze wyda się ludziom wstrętnym. Na tym jednym punkcie brakuje im zdrowego rozsądku, że zamiast ogona muszą mieć parę podpórek, nazwanych nogami i wtedy dopiero uważają się za pięknych.

Mała syrena westchnęła i spoglądała z żalem na swój rybi ogon.

— Rozpogódź się — pocieszała ją babka — trzysta lat to tak wiele, że możesz długo być wesołą, nie myśląc o tem, co cię czeka. Oto powiem ci lepiej, że dziś będzie wielki bal dworski.

...Bal na dnie morza jest uroczystością, której się nigdy nie ogląda na ziemi. Odbywa on się w wielkiej, całej ze szkła sali. Setki olbrzymich muszel, różowych i zielonkawych stoją rzędami wzdłuż ścian, każda wewnątrz oświecona, a morze naokoło za przezroczystemi ścianami lśni jak fosfor. W świetle tem uwijają się niezliczone ryby małe i duże; niektórych łuska odbłyska purpurowo, inne znów są złote lub srebrzyste. Przez środek sali przepływa wolny, łagodny prąd i w nim tańczą syreny i trytony, śpiewając pięknymi głosami, z którymi ludzkich nawet porównać nie można.

Tak zawsze odbywają się morskie bale. Ale na tym, który odprawiał się teraz, młoda księżniczka śpiewała tak cudnie, że wszyscy bili oklaski i jej samej nawet przez chwilę się zdawało, że jest zupełnie szczęśliwą, mając głos najpiękniejszy na świecie. Lecz wkrótce pomyślała znów o ludzkiem życiu. Nie mogła zapomnieć księcia i smuciła się wciąż, że nie posiada nieśmiertelnej duszy, jak on. Dlatego więc wymknęła się z zamku pełnego gwaru i usiadła stroskana w swoim ogródku; nagle usłyszała dźwięk rogu nad wodą i pomyślała: Oto tam płynie teraz ten, którego ukochałam więcej, niż matkę i ojca, do którego należą wszystkie moje myśli i któremubym powierzyła całe swoje szczęście. Dla niego zdobędę się na wszystko, aby otrzymać nieśmiertelną duszę. Niechaj siostry moje tańczą tymczasem w zamku, ja — udam się do czarownicy mórz. Dotychczas się jej lękałam, ale teraz ona musi mi pomódz.

I syrena wypłynęła z ogrodu, kierując się ku wrzącemu wirowi, za którym mieszkała czarownica. Dotąd nigdy nie przebywała tej drogi; nie rosły tam kwiaty, ani trawy morskie, tylko

szary, lepki piasek rozpościerał się aż do wiru, gdzie woda, niby olbrzymie koło młyńskie obracała się z szumem, ciągnąc wszystko na dno. Przez te niszczące ukropy musiała się przedostać księżniczka, a potem spory kawał drogi ciągnął się ciepły, rozmącony szlam, który czarownica nazywała swojem głębokiem bagienkiem. Poza niem dopiero leżał jej dom w olbrzymim lesie. Wszystkie drzewa i krzewy w nim składały się z półzwierząt, półroślin-polipów, podobnych do stugłowych wężów, wyrastających z ziemi; gałęzie te to były ich śliskie ramiona z palcami wijącymi się, jak robaki, a całe drzewa poruszały się ciągle od szczytu do korzeni. Opasywały one wszystko, co tylko morze naokoło w odmęty porwało i nie wypuszczały tego już nigdy. Mała syrena zatrzymała się przerażona przed lasem, serce kołatało jej ze strachu i o mało co nie zawróciła z drogi, ale w tej chwili pomyślała o księciu i zdobyciu duszy i nabrała odwagi. Okręciła tylko długie, powiewające włosy mocno naokoło głowy, aby polipy nie mogły za nie schwycić, skrzyżowała ręce na piersiach i puściła się jak strzała naprzód, omijając potwory, które wyciągnęły po nią kręte ramiona. Zauważyła przytem, że każde z tych strasznych stworzeń trzymało i oplatało niezliczonemi odnogami coś schwytanego. Byli tam topielcy, szczątki okrętów, skrzynie, kości potopionych zwierząt, a co najstraszniejsze nawet uduszona syrena.

Wreszcie księżniczka dotarła do gładkiego, pokrytego szlamem miejsca w lesie, gdzie przewalały się tłuste morskie węże, kurcząc i rozciągając żółtawe podbrzusza. Dalej jeszcze stał dom zbudowany z kości topielców. Siedziała tam sama czarownica i karmiła kreta tak, jak ludzie karmią kanarki domowe.

— Wiem, czego chcesz! — wykrzyknęła na widok syreny. — Stanie się, czego żądasz, gdyż i tak doprowadzi cię to do nieszczęścia, moja jasna księżniczko; pomogę ci zamienić ogon na nogi, abyś rozkochała w sobie księcia i otrzymała duszę nieśmiertelną! — I czarownica śmiała się przytem tak brzydko, że aż kret spadł jej z kolan, a węże pospiesznie odpełzły. — Nie mogłaś na lepszy czas trafić, jutro po wschodzie słońca jużby było zapóźno i musiałabyś cały rok czekać. Przygotuję ci napój, z którym o świcie na brzeg popłyniesz i o wschodzie słońca wypijesz go duszkiem, od czego zamieni ci się ogon na dwie piękne nóżki. Ale jednocześnie zaczniesz odczuwać przeszywający ból. Wszyscy, którzy cię ujrzą, powiedzą, żeś najpiękniejsza, będziesz miała najpowiewniejszy chód i żadna tancerka ci nie dorówna; ale przy najmniejszym kroku powtórzy się ten sam ból. Jeżeli więc zgodzisz się przenieść wszystko, spełnię twoje życzenie.

— Tak — odpowiedziała syrena drżącym głosem, myśląc o księciu i nieśmiertelności.

— Lecz zauważ — ciągnęła czarownica — że gdy raz staniesz się kobietą, nie będziesz już mogła z powrotem w syrenę się zamienić. Nie dostaniesz się już nigdy do zamku ojca, ani nie ujrzysz swoich sióstr, a jeśli książę nie zakocha się w tobie tak, że staniesz mu się droższą od matki i ojca i nie zechce cię poślubić, nie będziesz miała duszy nieśmiertelnej. Pierwszego poranku po zaślubinach księcia z inną pęknie ci serce i zamienisz się w pianę wodną. —

— Zgadzam się — powtórzyła syrena śmiertelnie blada.

— Przytem musisz mi za to zapłacić — kończyła czarownica, —

a ja żądam nie byle czego. Twój głos jest najpiękniejszy i mnie musisz go oddać. Żądam za mój napój to, co masz najlepszego.

— Lecz cóż mi pozostanie, gdy zabierzesz mi głos? — pytała syrena.

— Twoja piękna postać, powiewny chód i wyraziste oczy, któremi możesz ludzi oczarować. No cóż, straciłaś odwagę? Pokaż języczek, abym ci go mogła odciąć, a wtedy dopiero otrzymasz napój.

— Uczyń to — rzekła syrena, — a czarownica zasiadła przed kotłem, aby gotować czarodziejski płyn. — Czystość jest połową dzieła — rzekła i wytarła kocioł pękiem wężów. Wtedy dopiero zadrasnęła się w pierś i wpuściła kroplę czarnej krwi do środka. Para utworzyła wtedy nad wszystkiem gęsty obłok, a czarownica czyniła nad kotłem coraz nowe dziwy. Wreszcie napój był gotów i wyglądał, jak najczystsza woda.

— Masz go — rzekła czarownica i jednocześnie obcięła syrenie język; od tej chwili stała się ona niemą. Nie mogła już ani śpiewać, ani mówić.

— Jeśliby cię polipy chciały napaść, gdy będziesz przez mój las powracała — dodała jej na pożegnanie czarownica — pryśnij na nie tym płynem, a wtedy ramiona im się rozpadną na tysiączne kawałki.

Ale ostrzeżenie czarownicy było zbyteczne, polipy rozsunęły się przerażone, gdy zobaczyły lśniące, jak gwiazdę, naczyńko z napojem w ręce syreny. Tak bez przeszkody przebyła las, bagno i wiry.

Teraz zobaczyła zdaleka rodzinny zamek. W sali balowej światła już nie płonęły. Wszyscy tam zapewne spali, ale syrena nie od-

ważyła się ich budzić, czuła tylko, że serce jej pęka z żałości; ukradkiem zerwała trochę kwiatów w ogródkach sióstr, posłała w stronę zamku tysiące tęsknych pocałunków i wreszcie wypłynęła na powierzchnię.

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy znalazła się przed zamkiem księcia i wstąpiła na szerokie, wybrzeżne schody. Na niebie bladł jeszcze przejrzysty księżyc. Nie namyślając się dłużej, syrena wypiła palący, ostry napój, który sprawił, że jakby obosieczny miecz przeniknął jej ciało i pozbawił ją przytomności. Dopiero gdy słońce już było wysoko, syrena ocknęła się, czując niewysłowiony ból, lecz nad nią stał młody książę i tak usilnie wpatrywał się w nią czarnemi, jak węgle, oczami, że musiała swoje spuścić, a wtedy ujrzała, że zamiast rybiego ogona ma dwie prześliczne, białe nóżki. Lecz jednocześnie dostrzegła, że jest obnażona, więc okryła się wstydliwie długimi włosami. Książę pytał ją, skąd pochodzi i jak się tu znalazła, ale syrena nie mogąc mówić, spoglądała tylko na niego słodko i żałośnie błękitnemi oczami. Wtedy książę wziął ją za rękę i poprowadził do zamku. Tak, jak zapowiadała czarownica, przenikały syrenę za każdym krokiem jakby ostre igły i noże, ból nie ustawał, ale znosiła go teraz chętnie. Oparta na ręce księcia wstępowała tak lekko na schody, że wszyscy spotkani nie mogli się nadziwić jej powiewnej postaci.

W zamku przyodziano ją w kosztowne, jedwabne szaty, uznano odrazu za najpiękniejszą z kobiet, lecz syrena nie mogła nietylko zaśpiewać, ale nawet przemówić swym cudnym głosem. Po galerjach zamku przechadzały się piękne niewolnice i śpiewały o młodym księciu i jego rodzie, a gdy jedna z nich za-

śpiewała dźwięczniej nad inne, książę uśmiechnął się do niej, co jeszcze bardziej zasmuciło syrenę, wiedziała, że ona zaśpiewałaby daleko piękniej. O, pomyślała sobie, gdybyż książę wiedział, że podarowałam swój najmilszy ze wszystkich głos poto, aby tylko módz być przy nim!

Potem niewolnice zaczęły tańczyć przy dźwiękach muzyki, a wtedy syrena wzniosła w górę białe ramiona, okręciła się na czubeczkach palców i zatańczyła tak lekko, jak nikt inny tegoby nie potrafił. Każde poruszenie jeszcze bardziej uwydatniało jej piękność, a błękitne oczy były piękniejsze i bardziej wymowne od śpiewu niewolnic.

Taniec ten wszystkich zachwycił, a przedewszystkiem księcia, który nazwał ją swoją najdroższą dzieweczką, a syrena tańczyła dalej, ledwo nogami tykając ziemi, choć ostry ból ją przenikał. Wreszcie książę oświadczył jej, że musi na zawsze z nim pozostać i pozwolił jej sypiać na aksamitnej poduszce u swych drzwi.

Odtąd przebrana za młodego pazia towarzyszyła syrena księciu zawsze w jego wycieczkach. Przejeżdżali razem konno szumiące lasy, gdzie zielone gałązki czepiały się ramion, a ptaki śpiewały w gęstwinie liści. Wdrapywali się na wysokie góry i choć syrena raniła sobie nóżki o kamienie, uśmiechała się tylko i towarzyszyła księciu aż tam, gdzie obłoki przepływały głęboko pod niemi, niby stada ptactwa, lecące do obcych krajów.

I dopiero nocami, gdy w zamku książęcym wszyscy spali, syrena siadała na wybrzeżnych, marmurowych schodach i zanurzywszy zbolałe nóżki w chłodną wodę, rozmyślała o swoich, pozostawionych tam w głębi.

Pewnej nocy ramię przy ramieniu przypłynęły do niej siostry i opowiedziały jej, jak tam na dnie wszyscy są strapieni. Odtąd odwiedzały ją co noc, a kiedyś dostrzegła nawet zdala ojca i babkę, wynurzających się nad powierzchnię, wyciągali oni do do niej ręce, ale nie odważyli się podpłynąć tak blizko, jak siostry.

Dzień za dniem książę coraz bardziej wydawał się jej kochany, on zaś kochał ją, jak się kocha dobre, wdzięczne dziecko, lecz ani mu nie postało w głowie, aby ją kiedyś uczynić swoją królową, a ona przecież musiała zostać jego żoną, gdyż inaczej z dniem jego ślubu z inną, zamieniłaby się w pianę wodną.

— Tak, jesteś mi najmilszą — mówił jej książę — bo masz najlepsze serce, jesteś mi najbardziej oddana, a przytem podobna do dzieweczki, którą raz kiedyś widziałem, ale teraz odnaleźć nie mogę. Byłem wtedy na tonącym okręcie, a po jego rozbiciu fale zaniosły mnie w pobliże jakiejś nadbrzeżnej świątyni, gdzie było wiele dziewic poświęconych Bogu. Najmłodsza znalazła mnie na brzegu i uratowała mi życie. Ona jest tą jedyną, którą ukochałbym nadewszystko, a ty podobna jesteś do niej i wywołujesz jej obraz w mem sercu. Tamtej już nigdy nie zobaczę i dlatego szczęście ciebie mi posłało, abym mógł tamtą sobic choć przypomnieć.

Książę nie wie, że to ja mu życie wówczas uratowałam, myślała księżniczka morza, że to ja zaniosłam go przez fale na brzeg w pobliże świątyni, nie widział mnie wtedy, czuwającej nad nim, a potem ukrytej przed ludźmi, ale ja widziałam piękne dziewczę z klasztoru. — Tak myśląc, syrena westchnęła tylko głęboko, gdyż płakać nie mogła.

Dnie płynęły za dniami, a książę musiał przecie znaleźć sobie żonę. Więc wreszcie wyszykowano wspaniały okręt, który go miał zawieźć do sąsiedniego królestwa, aby poznał córkę tamtejszego władcy. Wyprawa ta była księciu zupełnie obojętną, wybrał się raczej, aby zwiedzić sąsiedni kraj, a syrena, która nauczyła się odgadywać jego myśli, potrząsnęła na to główką i uśmiechnęła się. — Muszę jechać — mówił jej książę, — moi rodzice życzą sobie, abym poznał królewnę, lecz nie zmuszą mnie, abym ją zaślubił. Bo nie mógłbym kochać tej, która nie jest wcale podobną tak, jak ty, do dzieweczki z klasztoru. Wreszcie, gdybym musiał wybrać sobie żonę, wybrałbym raczej ciebie, moja słodka, milcząca dziewczyno z wymownemi oczami. Przytem książę pocałował ją w usteczka, oparł jej głowę na ramieniu, bawiąc się długimi splotami włosów, a syrena odczuła wtedy całe szczęście ludzike, marząc o duszy nieśmiertelnej.

— Nie będziesz się bała jechać ze mną przez morze? — pytał ją książę, kiedy weszli na wspaniały okręt. I opowiadał jej o nawałnicach i ciszach morskich, o nadzwyczajnych morskich stworzeniach, o których donosili mu nurkowie i poławiacze pereł, a ona, słysząc te opowiadania, uśmiechała się, bo któż lepiej od niej mógł znać tajemnice dna morskiego?

W noce księżycowe, gdy wszyscy na okręcie spali i tylko sternik czuwał na tyle statku, syrena siadała przy poręczy okrętowej i wpatrywała się w głębie. Tak pewnej nocy dostrzegła głęboko na dnie zamek ojcowski; na najwyższej wieży stała siwa babka w złotej koronie, wyciągając ręce za przepływającym okrętem. A potem wynurzyły się z wody jej siostry i zbliżyły się do niej. Syrena pochyliła się ku wodzie, chcąc opo-

wiedzieć, jak się czuje szczęśliwą, lecz w tej chwili zbliżył się chłopiec okrętowy i siostry zanurzyły się pospiesznie, tak, że wydało mu się, jakby tylko piana wodna minęła płynący statek.

Następnego poranku okręt płynął do portu sąsiedniejsto licy. Wszystkie dzwony biły na powitanie, trąby i rogi grzmiały z warownych wież, wojska z rozpostartemi chorągwiami i lśniącą bronią szły w ceremonialnym marszu. Tak się zaczęły całe dnie wspaniałych festynów. Bale i zabawy następowały jedne po drugich, lecz królewna nie była na nich obecną, miała bowiem dopiero powrócić, po ukończeniu nauk w dalekim klasztorze. Wreszcie królewna przybyła.

Syrena, która niesłychanie pragnęła ją ujrzeć, musiała przyznać, że dotąd nie widziała tak pięknej, ludzkiej postaci. Królewna miała płeć przezroczystą, jak alabaster, a wspaniałe czarne jej oczy z pod długich, ciemnych rzęs uśmiechały się do całego świata. Książę krzyknął na jej widok: „To ty jesteś tą, która mi życie uratowała, gdym nieprzytomny leżał na brzegu!" I to mówiąc, młody władca chwycił w objęcia tę, której nie spodziewał się nigdy ujrzeć. — O, teraz jestem szczęśliwy, spełniło się, czegom już nigdy nie oczekiwał! Prawda, że cieszysz się z mego szczęścia? — zwrócił się książę do syreny — bo któż mnie lepiej od ciebie rozumie! Syrena ucałowała na to w milczeniu rękę książęcą, czując jakby jej serce pękało. Wiedziała, że z dniem jego zaślubin, zbliży się dzień jej śmierci, a wtedy jako piana przepadnie w morzu.

A tymczasem dzwony dzwoniły w całem mieście i gońcy rozesłani po mieście, obwieszczali już ludowi dzień zaślubin. I wkrótce w katedrze zapłonęły lampy, napełnione wonną oliwą,

kapłani poruszali kadzielnicami, a oblubieńcy odebrali błogosławieństwo od samego biskupa. Syrena, odziana w jedwabie i złoto, niosła podczas ceremonii tren królewny, lecz nie słyszała wspaniałej muzyki, ani nie widziała całego obrzędu, tylko myślała o swej nocy śmiertelnej i o tem, co tu na świecie utraciła na zawsze.

Tego samego jeszcze wieczora młoda para wsiadła na okręt. I znów grzmiały armaty, powiewały flagi, pośrodku zaś pokładu cały z purpury i złota stał rozbity namiot, gdzie młodzi królestwo postanowili przepędzić piękną noc podróży. Wiatr wydął żagle, okręt pochylił się do biegu i wkrótce znalazł się na pełnem morzu.

Gdy ciemności zapadły, cały okręt zapłonął od kolorowych lamp, a marynarze zaczęli tańczyć na pokładzie. Wtedy to syrena przypomniała sobie ów wieczór, gdy poraz pierwszy wynurzyła się z morza i widziała taki sam wspaniały obchód na pokładzie zatopionego później statku, i z temi myślami lekko, jak jaskółka zaczęła teraz tańczyć tak cudnie, jak nigdy jeszcze nie tańczyła. Przy każdym ruchu przenikał ją ostry ból, ale syrena nie czuła go; gorzej bolało ją serce, gdyż wiedziała, że to ostatni wieczór na tym świecie, dla którego porzuciła swą podwodną ojczyznę, aby tu nie znaleźć ani miłości książęcej, ani życia wiecznego. To była ostatnia jej noc i ostatni raz oddychała przeczystem powietrzem, patrząc na drżące nad wodą gwiazdy. Wieczna noc bez marzeń i myśli czekała potem ją, która nie miała duszy i nigdy jej już mieć nie będzie mogła.

A książę tymczasem całował swą małżonkę, bawiącą się jego czarnemi kędziorami; na okręcie weselono się, aż wreszcie

wszyscy ułożyli się do snu i tylko sternik czuwał na tyle statku, kierując go przez fale.

Wtedy syrena oparła się białemi dłońmi o poręcz i zapatrzyła się na wschód, gdzie miała pokazać się jutrzenka. Pierwsze promienie słońca będą dla niej wysłańcami śmierci, to wiedziała. I gdy tak patrzyła, dostrzegła siostry, wynurzające się z morza, blade tak, jak ona. Długie włosy nie powiewały, jak dawniej, za niemi; były krótko obcięte.

— Dałyśmy je czarownicy, — przemówiły razem, — aby nam pomogła ocalić cię od śmierci w tę noc. Dała nam zato nóż; oto on, spojrzyj, jaki jest ostry! Nim słońce wzejdzie, musisz go wbić księciu w serce, a krew jego, która na ciebie tryśnie, przywróci ci twój ogon. Staniesz się znów syreną i powrócisz do nas. Spiesz się, spiesz, ty lub on musicie umrzeć przed wschodem. Babka nasza włosy swe od żalu straciła, a myśmy swoje ofiarowały czarownicy, ulituj się nad sobą i nad nami, zabij księcia i powracaj! Czy widzisz purpurowe blaski na wschodzie? Wkrótce pokaże się słońce, a wtedy będzie zapóźno. — I siostry podały jej nóż, westchnęły głęboko i pogrążyły się pod wodę.

Wtedy syrena zbliżyła się do królewskiego namiotu i podniosła zasłonę wejścia. Piękna małżonka spała tam z głową opartą na piersi księcia, a ten lekko pochylony, jakby całował przez sen jej wyniosłe czoło. A potem spojrzała syrena żałośnie na niebo, gdzie czerwień wschodu coraz wzrastała, spojrzała na nóż w ręce, i znów na księcia, szepczącego przez sen imię ukochanej. Wszakże ją jedną kocha on wszystkiemi myślami i całem sercem — przemknęło jej przez głowę, a nóż drżał

w ręce biednej księżniczki morza. I nagle — odrzuciła go precz od siebie, daleko w fale, które jakby w tem miejscu krwawo zalśniły. Wytrysły tam jakby krople krwi w górę, a syrena raz jeszcze spojrzała na księcia i skoczyła z pokładu w morze, czując, jak ciało jej w pianę się zmienia.

W tej chwili słońce ukazało się nad widnokręgiem. Ożywcze jego promienie padły na martwą pianę i syrena poczuła, że żyje, choć w innej postaci. Ujrzała słońce, a pod niem w powietrzu krążące roje świetlanych istot. Widziała przez ich przezroczyste ciała i białe żagle statku i purpurowe obłoczki. Głosy ich brzmiały jak muzyka przestrzeni, niedosłyszalna dla ucha ludzkiego, tak, jak niewidzialne dla oka były ich postacie. I dostrzegła syrena, że ma ciało do nich podobne, które się coraz wyżej dźwiga z opadającej piany.

— Dokąd dążę? — zapytała, a głos jej brzmiał, jak głosy tych cudownych duchów.

— Do sióstr powietrza — odpowiedziano jej; — syreny nie mają nieśmiertelnej duszy i otrzymują ją dopiero, gdy uda im się zjednać miłość ludzką. Wieczność ich zależy tedy od cudzej mocy. My córy powietrzne nie jesteśmy też nieśmiertelne, lecz możemy zasłużyć sobie wieczność przez dobre uczynki. Służyć ludziom, odwracać od nich złe zarazy i nawiewać im wonne zapachy kwiatów i ziół, ożywiać niemi ciasne, ciemne mieszkania miast — oto nasze dzieło. I gdy spełni się trzysta lat naszej pracy, wtedy wstępują w nas dusze nieśmiertelne, abyśmy dzieliły z ludźmi wiekuiste szczęście. I ty, biedna, maleńka księżniczko wód, dążyłaś do tego samego celu; a cierpienia twoje, któreś z taką pokorą znosiła, pozwoliły ci się wznieść do nas,

abyś kiedyś mogła sama odebrać oczekiwaną nagrodę. — Wtedy syrena wzniosła swe przezroczyste ramiona ku słońcu i poraz pierwszy uczuła, że płacze ze szczęścia.

Na statku tymczasem zaczął się już ruch i po chwili zauważyła ona, jak książę z małżonką, szukając jej, zwrócili oczy na kołyszące się piany, jakby przeczuwając, że tam się od nich oddaliła. Więc syrena niewidzialna ucałowała szczęśliwą parę, uśmiechnęła się doń i uniosła się z dziećmi powietrza ku różanym, wysoko płynącym obłokom.

— Tak, po trzystu latach wzniosę się do królestwa bożego — coś w niej szeptało.

— Jeszcze wcześniej możesz się tam dostać — odpowiedział jej jeden z powietrznych duchów. — My wnikamy niedostrzegalnie między ludzi i widok każdego dobrego dziecka tam na ziemi skraca czas naszej próby. Dziecię nie wie, kiedy niby powietrze przepływamy przez pokoje, ale widok jego przenika nas radością, a lata naszego czekania upływają odtąd szybko, jak chwilki. Ale jeżeli napotkamy zło na świecie, spada ono na nas całym ciężarem i wtedy płaczemy gorzko, pracując dalej nad dobrem dla ludzi, z którymi nas kiedyś szczęśliwość połączy.

KRÓLOWA ŚNIEGU.

1. O CZARODZIEJSKIEM ZWIERCIEDLE I JEGO SZCZĄTKACH.

Opowiem wam teraz o złej sprawce pewnego najgorszego pod słońcem czarownika. Był on nietylko najgorszym, ale i najpotężniejszym śród innych i z tego już domyślić się można, że mowa tu o jego najciemniejszej mości — djable. Pewnego dnia wpadł on w doskonały humor, bo udało mu się sporządzić zwierciadło, ślepe na wszystko, co było na ziemi dobre i piękne, ale zato odbijające z przesadną dokładnością wszystko, co tylko złego gdziekolwiek się stać mogło. Dlatego to najwspanialsze widoki wyglądały w niem, jak rozgotowana zielenina, a najlepsi ludzie brzydli nie do poznania. Djabłu sprawiało to niesłychaną przyjemność. Wszyscy, którzy uczyli się w jego czarciej szkole, opowiadali długo i szeroko o tym cudzie swego mistrza, mówiąc, że teraz dopiero będzie można światu i ludziom pokazać, jak się wszystko dziać powinno. I uczniowie djabła wciskali się wszędzie ze swem zwierciadłem, aż wkrótce nie było na ziemi prawie żadnego człowieka, którego myśli i zamiary nie byłyby z ich przyczyny zeszpecone. Wtedy to czarcie plemię umyśliło

dostać się aż do nieba, aby i tam praktykować swoje sztuczki wobec dobrego Boga i aniołów. Ale oto stało się coś dziwnego. Bo, im wyżej wznosili się ze zwierciadłem, tem silniej drżało i chybotało się im w djablich łapskach, aż wreszcie upuszczone spadło na ziemię i rozbiło się na niezliczoną ilość kawałków. I teraz dopiero zaczęły się dla ludzi najgorsze czasy. Niektóre z szczątków zwierciadła, drobniejsze od ziaren piasku, rozniósł wiatr po całym świecie, a gdy który z nich trafił człowiekowi do oka, pozostawał tam niepostrzeżony, zachowując dawniejsze własności całego zwierciadła. Niektórym dostały się takie szczątki aż do serca i zamieniły je na nieczułe bryłki lodu. Inne znów, większe kawałki, użyte zamiast szyb do okien, zohydziły patrzącym przez nie cały świat. A te, z których zrobiono okulary, nie pozwoliły już żadnemu z sędziów, gdy je na nos włożył, sądzić sprawiedliwie. Djabeł cieszył się z tego i śmiał aż do rozpuku. Bo niektóre z tych brzydkich szkiełek jeszcze dotąd wiatr nosi po świecie. Posłuchajcie, ile złego narobiło jedno z nich.

2. O JANKU I ZOSI.

W wielkiem mieście tak jest ciasno wśród domów, że ludzie nie mogą sobie często pozwolić nawet na najmniejszy ogródek. Trzeba się wtedy zadowolnić kwiatami w doniczkach. Słyszałem o dwojgu dzieciach, które za cały swój ogródek miały parę kwiatów doniczkowych. Były to dzieci sąsiadów, ale kochały się tak, jak najlepsze rodzeństwo. Rodzice ich zamieszkiwali dwa poddasza, oddzielone tylko tak wązką uliczką, że z okien można się było prawie uścisnąć za ręce. Każda rodzina miała na da-

chu tuż przy rynnie małą skrzynkę, gdzie rosło trochę warzyw, a prócz nich w każdej znajdował się pięknie kwitnący krzaczek różany. Róże rozrastały się, pięły po oknach i osłaniały je liśćmi i kwiatami, a dzieci, siedząc wtedy na okienkach naprzeciw siebie, bawiły się doskonale, jak w altankach.

W zimie przerywały się te zabawy. Okna były zamknięte i zamarznięte. Ale wtedy dzieci brały pogrzebacz, rozgrzewały go w piecu i wytapiały nim na szybie okrągłe okienka, przez które spoglądały znów na siebie ich radosne oczęta. Chłopiec miał na imię Janek, dziewczynka — Zosia. W lecie widzieli się caluteńki dzień w swych altankach, ale w zimie maleńkie dziurki w lodzie musiały im wystarczyć. Wtedy na dworze roiły się płatki śniegowe.

— To roją się białe pszczoły, — mówiła babka.

— Czy mają one też swoją królowę? — pytał chłopiec, gdyż wiedział, że u prawdziwych pszczół tak się dzieje.

— Tak, mają ją też — mówiła babka, — królowa jest tam, gdzie śnieg najgęściej się roi. Jest ona największa i nigdy nie spada spokojnie, jak inne płatki na ziemię, lecz wznosi się znów do szarych obłoków. Podczas zimowych nocy przelatuje ona przez miasto i zagląda do okien, a wtedy szyby pokrywają się pięknymi, lodowymi kwiatkami.

— Tak, tak, widzieliśmy je — wołały dzieci. — A czy królowa śniegu może tu przyjść? — pytała dziewczynka.

— Niechby tylko weszła, zarazbym ją posadził na piecu i musiałaby stopnieć! — dodawał chłopiec. Ale babka głaskała go po głowie i zaczynała opowiadać inne historje.

Pewnego dnia wieczorem, gdy Janek już się kładł do łóżeczka,

pobiegł jeszcze do okna, wdrapał się na krzesło i wyjrzał przez zrobiony dziś otworek w szybie. Akurat parę płatków śniegowych wirowało w powietrzu, i jeden z nich największy, zawisł na pustej skrzynce do kwiatów. Tam zaczął rosnąć, aż wreszcie zamienił się w dużą kobietę, odzianą w wspaniałe śniegowe szaty, utkane jakby z milionów gwiazdek. Kobieta była piękna, ale cała z żywego, lśniącego lodu. Oczy jej błyszczały, jak dwie jasne gwiazdy, zwracając się ciągle na wszystkie strony. Kobieta nachyliła się do okna i skinęła ręką. Wtedy Janek przerażony zeskoczył z krzesła i dostrzegł tylko jeszcze, że jakby jakiś wielki biały ptak odlatywał z za okna.

Następnego dnia była odwilż, a potem nadeszły coraz cieplejsze czasy, pokazało się znów słońce, zazieleniły pierwsze trawy, przyleciały jaskółki. Wtedy otworzono okna i dzieci przywitały się po raz pierwszy oddawna ze swoich altanek.

Wkrótce zakwitły róże, dziewczynka nuciła im wymyśloną przez siebie piosenkę. Chłopiec nauczył się jej także i niedługo śpiewali sobie razem:

„Różyczki kwitną i wonieją,
Dzieciom się młode serca śmieją“.

I dzieci wyciągały do siebie rączki i całowały róże. O, jakże wtedy było pięknie tam, pod osłoną pnących się kwiatów różanych!

Kiedyś Janek i Zosia zasiedli do oglądania książki z obrazkami, pełnej zwierząt i ptaków. Nagle, gdy zegar na wieży wybił piątą godzinę, Janek krzyknął: coś mi wpadło do oka!

Zosia objęła go za szyję i zajrzała w oczy, ale nic nie dostrzegła.

— Zdaje się, że już wypadło — powiedział jej Janek, ale się mylił. Były to właśnie dwa kawałki czarodziejskiego zwierciadła, które dostały się mu do oka i do serca. I dlatego serduszko biednego chłopca zamieniło się natychmiast w bryłkę lodu.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał po chwili Zosię, — tak ci z tem brzydko. To mi się nie podoba. Fe, — dodał chłopiec nagle — jakież te róże brzydkie! Jedną z nich zupełnie zjadły robaki. Są równie marne, jak i skrzynki, w których rosną. — I Janek kopnął krzaczek nogą i złamał dwie najniżej rosnące różyczki.

— Co robisz, Janku? — zawołała Zosia. A Janek, gdy dostrzegł jej przerażenie, ułamał jeszcze jedną różę i, cisnąwszy ją na ulicę, uciekł do swego mieszkania.

Później, gdy zaczęli oglądać książkę z obrazkami, Janek szydził z takiej zabawy, dobrej dla małych dzieci, a gdy babka co opowiadała, przeczył jej we wszystkiem. To znów stawał za nią, wdziewał jej okulary i przedrzeźniał jej ruchy i mowę. Wkrótce zaczął tak udawać wszystkich ludzi, spotykanych na ulicy. Śmiano się z tego z początku, lecz gdy Janek zaczął w ten sposób wyszydzać wszystko, co się komu złego lub przykrego przytrafiło, ludzie powiedzieli, że chłopiec nabiera brzydkich przyzwyczajeń. A jednak nie on był winien temu, lecz owe dwie okruszyny czarodziejskiego szkła, tkwiące mu w sercu i oku. Doprowadziły one Janka do tego, że zaczął nawet dokuczać małej Zosi, która go z całego serca kochała.

Zabawy Janka stały się teraz inne. Nie chciał już bawić się spokojnie ze swą towarzyszką. Ugania się i bijatyki z chłopcami na ulicy więcej go pociągały. Pewnego zimowego dnia,

gdy spadł duży śnieg, Janek schwytał parę płatków śniegowych na połę kurteczki i pokazał je Zosi przez powiększające szkło.

— Popatrzno — mówił — jak każdy płatek wydaje się większy i wygląda, jak kwiat lub dziesięciopromienna gwiazda. Jak to jest ślicznie urządzone i czy nie wygląda piękniej, niż prawdziwe kwiaty? Kwiaty śniegowe są daleko równiejsze i dokładniejsze, szkoda tylko, że tak łatwo topnieją.

I po tych zachwytach, które też zadziwiły dziewczynkę, bo nie rozumiała, jak można uważać śnieg za coś piękniejszego od żywych, wonnych kwiatów, Janek poszedł na ulicę w ciepłych rękawiczkach z saneczkami na plecach. Na odchodnem szepnął jeszcze Zosi do ucha: — pozwolono mi jeździć po dużym placu, gdzie się wszyscy chłopcy ślizgają, — i pobiegł tam szybko.

Na placu najśmielsi chłopcy przywiązywali swe sanki do chłopskich wozów i przejeżdżali się w ten sposób prędko i bez trudu. Gdy zabawa szła w jaknajlepsze, nadjechały wielkie, białe sanki. Siedziała w nich jakaś osoba otulona w białe futro, w dużej białej czapce na głowie. Sanki objechały już dwa razy plac dokoła, gdy Jankowi udało się wreszcie przywiązać za niemi swoje małe saneczki. A wtedy sanki popędziły szybko w sąsiednie ulice. Ten, kto w nich siedział, spojrzał na Janka przyjaźnie i skinął głową tak, jakby go znał oddawna. Sanki jechały coraz dalej, ale ilekroć chłopiec chciał odwiązać swoje, uśmiechano się do niego i chłopiec zostawał. Wkrótce znalazł się za miastem. A wtedy zaczął padać gęsty śnieg, nic już nie można było naokoło dostrzedz, a gdy chłopiec zechciał odwiązać sznurek swych sanek, ten się nie chciał jakoś odplątać. Wtedy zaczął wołać głośno, ale nikt mu nie odpowiadał, tylko

maleńkie sanki kręciły się i podskakiwały w szybkim biegu, jakby przebywały jakieś góry i rowy. Przerażony Janek spróbował się modlić, lecz nic prócz tabliczki mnożenia nie przychodziło mu w pośpiechu do głowy. Tymczasem padające płatki śniegowe powiększały się ciągle, aż wreszcie stały się podobne do dużych, białych kur. A wtedy konie szarpnęły się i stanęły. Sanie się zatrzymały i wyszła z nich nieznajoma, biało odziana osoba. Cała jej odzież była z bielutkiego śniegu. Była to wysoka, bialutka kobieta — sama królowa śniegów.

— Szybkośmy jechali — powiedziała — ale ty, Janku, możesz się zaziębić. Pójdź, otul się mojem futrem. — I królowa posadziła Janka u siebie w dużych sankach, owijając całego białem futrem, a chłopcu wydało się, że wpadł w zaspę śniegową.

— Nie zimno ci teraz? — zapytała królowa i pocałowała go w czoło. Pocałunek był chłodniejszy od śniegu; chłopiec poczuł go aż w sercu, które jeszcze silniej stężało, i jakby zamarło. Ale trwało to tylko chwilę i przeszło. Później Janek przestał zwracać uwagę na zimno. Zawołał tylko jeszcze: sanki, zapomniałem, moje sanki! — bo to jedno spamiętał. Więc sanki wzięła na grzbiet jedna z dużych kur śniegowych.

Wtedy królowa śniegów ucałowała Janka jeszcze raz, a chłopiec zapomniał na zawsze dom swój, babkę i maleńką Zosię. — Więcej cię już nie pocałuję, bo toby cię uśmierciło — powiedziała. Janek spojrzał na nią. Królowa wydała mu się teraz piękną. Nie widział dotąd wspanialszej twarzy i nie wydała mu się ona lodową, tak, jak wtenczas przez okno. Janek się jej już nie lękał, zaczął jej opowiadać, że umie rachować, wie, wiele przestrzeni zajmuje jaki kraj i ilu posiada mieszkańców. Zda-

wało mu się przytem, że może tak prawić bez końca, spoglądając na ośnieżone przestworza, a królowa uniosła się z nim ponad czarne obłoki, pod któremi huczała i wyła zamieć, tak jakby ktoś śpiewał stare, grzmiące pieśni. I lecieli nad lasami i jeziorami, nad morzami i lądami. Dął pod niemi lodowaty wiatr, wyły wilki, siekł śnieg, unosiły się w nim czarne, trzepocące wrony, ale tu, gdzie oni byli, lśnił zimny, ogromny księżyc i Janek wpatrywał się weń przez całą, długą noc zimową. Nad ranem dopiero chłopiec znużony zasnął u stóp królowej śniegów.

3. OGRÓDEK STARUSZKI, KTÓRA UMIAŁA ZADAWAĆ CZARY.

Teraz zobaczymy, co się działo z Zosią, gdy Janek nie wrócił z zabawy na placu miejskim. Coraz smutniejsza zadawała sobie pytanie, gdzieby mógł być. Nikt tego nie wiedział, nikt nie dawał na to rady. Chłopcy opowiedzieli jej, że przywiązał się z saneczkami do jakichś wielkich i pięknych sań, które wyjechały za bramę miasta. Nikt jednak nie wiedział, co dalej było, wszyscy płakali, a mała Zosia najwięcej i najdłużej. Mówiono jej, że pewnie utonął w rzece, płynącej pod miastem... Okrutne to było zmartwienie w zimowe, ciemne dni.

Wreszcie nadeszła znów wiosna z blaskami słońca.

— Janek nie żyje — pomyślała znowu Zosia.

— W to ja wątpię, — odparł jej promień słoneczny.

— Czy słyszycie, Janek umarł! — mówiła Zosia jaskółkom.

— W to my nie wierzymy — odświergotały ptaki, aż wreszcie i Zosia przestała temu wierzyć. — Włożę moje czerwone trze-

wiczki, — pomyślała pewnego poranka, — te, których Janek jeszcze nie widział i pójdę zapytać rzeki, co się z nim stało.

I dziewczynka ucałowała śpiącą jeszczcze babkę, włożyła trzewiczki i poszła za bramę miasta do rzeki.

— Czyś to ty zabrała mi mojego przyjaciela? — pytała. Dam ci moje czerwone trzewiczki, tylko wróć mi go. — I Zosi wydało się, że fale skinęły na nią, więc zdjęła trzewiczki i wrzuciła je do wody. Lecz trzewiki upadły tuż przy brzegu i woda znów je na ląd wyniosła. Wyglądało to, jakby rzeka nie chciała przyjąć ofiary Zosi, bo o Janku nic nie mogła jej powiedzieć. Lecz dziewczynka wyobraziła sobie, że rzuciła je tylko za blizko. Więc weszła do łódki stojącej u brzegu i z najdalszego jej końca rzuciła trzewiczki jeszcze raz. Łódka nie była dobrze uwiązana i przy poruszeniach Zosi oddaliła się od brzegu. Zosia chciała prędko z niej wyskoczyć, lecz łódkę porwał już prąd i poniósł szybko z sobą. Wtedy przerażona dziewczynka poczęła płakać, choć nikt jej nie słyszał i tylko wróble latając nad wodą, jakby ją chcąc pocieszyć, ćwierkały: — myśmy tu, myśmy tu!

Łódka płynęła z prądem, Zosia siedziała w niej cichutko w samych pończoszkach. Maleńkie, czerwone trzewiczki płynęły za nią, nie mogąc jakoś nadążyć. Pięknie było na obydwuch brzegach: rosły tam wspaniałe kwiaty, stare drzewa, wznosiły się zielone wzgórza z pasącemi się owcami, ale ludzi nigdzie nie było widać.

Rzeka niesie mnie napewno do Janka, myślała Zosia, uspokajając się coraz więcej i spoglądając na piękne, zielone brzegi. Aż wreszcie łódka zaczęła mijać wielki sad wiśniowy, w którym stał mały domek. Domek miał słomiany dach, lśniący jak złoto,

okiennice pomalowane na czerwono i zielono, a u drzwi stało dwuch żołnierzy drewnianych, prezentujących broń każdemu, kto przejeżdżał.

Zosia zawołała na nich, bo sądziła, że są żywi, ale ci, ma się rozumieć, nic jej nie odpowiedzieli, a tymczasem prąd zbliżał powolutku jej łódkę do brzegu. Wtedy Zosia zawołała głośniej i z domku wyszła stara, bardzo stara babuleńka, wspierając się na zagiętym kijku. Babcia miała na głowie wielki, letni kapelusz, pomalowany w prześliczne kwiaty.

— Biedne, maleńkie dziecko, gdzieżeś ty zapłynęła tą wielką, bystrą rzeką. — I babusia zbliżyła się do brzegu, przyciągnęła łódkę zakrzywioną laską i pomogła Zosi wyjść na brzeg.

Dziewczynka ucieszyła się z wylądowania, bała się tylko trochę nieznanej staruszki.

— Pójdź — powiedziała jej babcia — opowiedz mi, skąd przybywasz i jakeś tu trafiła.

Więc Zosia opowiedziała jej wszystko. Staruszka potrząsła na to głową i rzekła: — „Hm, hm!“ — A gdy już od Zosi dowiedziała się całej żałosnej historji, uspokoiła ją, że wszystko jeszcze będzie dobrze, tylko nie trzeba się martwić, lecz skosztować wisienek w sadzie, które są lepsze, niż książki z obrazkami, bo każda z nich opowie piękną historyjkę. I babcia wzięła dziewczynkę za rękę, zaprowadziła do domku i zamknęła drzwi za sobą.

Okna domku umieszczone były wysoko i składały się z samych kolorowych szybek, co podczas dnia bardzo pięknie wyglądało. Na stole stały wspaniałe wiśnie, które wolno było Zosi jeść do woli, a podczas gdy jadła, babcia czesała ją złotym

grzebieniem, od którego włosy układały się w lśniące kędziory naokoło jej okrąglutkiej, różowej twarzyczki.

— Oddawna chciałam zobaczyć tak miłą, dobrą dzieweczkę — mówiła babcia. — Zobaczysz, jak będzie nam tutaj dobrze we dwie. — I gdy tak czesała jej włosy, Zosia coraz bardziej zapominała kochanego Janka. Bo choć babcia nie była złą czarownicą, jednak umiała udawać czary, tak tylko troszkę, tylko dla swej przyjemności, chcąc, aby Zosia pozostała u niej. Dlatego, gdy wyszła do ogrodu, wyciągnęła swój kijek nad wszystkie rosnące krzewy różane i te tak, jak kwitły, zapadły się głęboko w ziemię. Bo babcia obawiała się, że ich widok przypomni Zosi Janka i dziewczynka będzie chciała stąd odejść. Potem dopiero zaprowadziła Zosię do ogrodu. Ach, cóż tam był za widok i zapach! Wszystkie kwiaty, jakie tylko rosną o różnych porach roku, kwitły tu jednocześnie. Zosia skakała z uciechy i bawiła się, aż póki słońce zaszło nad drzewami wiśniowemi. A wtedy położyła się spać w pięknem łóżeczku z jedwabnemi, różowemi poduszkami, haftowanemi w fiołki. Zasnęła i śniła tak pięknie, jak śnią królewny w dniu wesela.

Następnego dnia mogła znów się bawić śród kwiatów i tak upłynęło jej wiele czasu. Zosia znała już wszystkie kwiaty. Ale choć było ich wiele, zdawało jej się, że brakuje jednego, którego sobie dobrze nie mogła przypomnieć.

Gdy Zosia siedziała jednego dnia i oglądała letni kapelusz staruszki, zauważyła między namalowanymi na nim kwiatami piękne róże, bo staruszka zapomniała o nich zupełnie.

— Dlaczego — pomyślała wtedy Zosia — niema wcale róż w ogrodzie? — I pobiegła między grządki, szukając, lecz

ani jednej nie znalazła. A wtedy usiadła na ziemi i zapłakała, a łzy jej upadły akurat na to miejsce, gdzie był pod ziemią jeden z krzaczków różanych. Od łez dziewczynki krzaczek teraz wykwitł na nowo nad ziemią, a Zosia, pieszcząc go i całując, przypominała sobie powoli Janka. O, dlaczegóż się tu tak długo zatrzymuję? Muszę Janka szukać. Czy nie wiesz, gdzie on jest? — spytała różyczki — czy myślisz, że umarł?

— Nie, Janek nie umarł — odpowiedziała róża. — Byłyśmy w ziemi, tam są wszyscy zmarli, ale jego nie widziałyśmy. Dziękuję — powiedziała Zosia i poczęła pytać innych kwiatów o to samo. Lecz każdy z kwiatów stał w słońcu i śnił swoje historje, więc choć Zosia bardzo się ich dużo nasłuchała, nie było w nich mowy o zaginionym.

Bo oto co mówiły ogniste lilje: czy słyszycie dźwięki trąb? tra, traa... to tylko dwa dźwięki: tra, traa... Czy słyszcie chór płaczek i śpiew kapłana? Oto stoi na stosie w długiej, czerwonej szacie wdowa hindusa. Za chwilę pochłonie ją ogień, ale czyż ogień jej serca nie przetrwa ognia stosu?

— Nie rozumiem tego — powiedziała Zosia.

— To moja bajka — dodała lilja.

A później opowiadał wiatr.

— Nad wąziutką ścieżką górską wznosi się stare rycerskie zamczysko, gęsty bluszcz obrasta grube, czerwone mury, zwiesza się nad starą altaną, w której siedzi młoda dzieweczka. Schyla się ona przez poręcz i patrzy na drogę. Żadna róża nie jest od niej piękniejszą. Pod nią przerzucony przez oparcie powiewa wspaniały płaszcz jedwabny. Dziewczę patrzy i myśli: gdzie on teraz jest?

— Czy myślisz o Janku? — pyta Zosia.

— Mówię tylko moją bajkę, mój sen — odpowiada wiatr.

— Cóż opowiadają hyacynty?

Opowiadają one o trzech siostrach. Jedna z nich nosiła czerwone, druga błękitne, trzecia białe suknie. Trzymając się za ręce, tańczyły wszystkie trzy nad cichem jeziorem w noc księżycową. Nie były to wcale duchy, były to trzy dzieweczki. A tam, gdzie tańczyły, pachniało tak silnie, że wreszcie od zapachu posnęły śród traw. A wtedy robaczki świętojańskie zaczęły krążyć nad niemi z zapalonemi latarkami. I niewiadomo było na jak długo zasnęły dzieweczki. Niejeden dzwon wieczorny przebrzmiał odtąd nad jeziorem, niejeden poranek rozpędził mgły nad wodą. A one spały tak, jakby były martwe.

— Zasmuciłyście mnie — powiedziała hyacyntom Zosia. — Pachniecie tak silnie, a zapach przypomina mi uśpione na zawsze dzieweczki. Czyżby i Janek zasnął na zawsze? Wszak róże, co były pod ziemią, nic o tem nie wiedzą.

— Kling, klang — dzwoniły kielichy hyacentowe — nie myślałyśmy o Janku, bo go nie znamy, śpiewałyśmy tylko naszą piosenkę.

Więc Zosia zwróciła się do słoneczników, świecących wśród zielonych liści.

— Jesteście małemi, jasnemi słońcami — mówiła — o, powiedzcież mi, co się z Jankiem dzieje?

A słoneczniki, świecąc między liśćmi, zaśpiewały jej swą piosenkę.

Wiosenne słońce tak pięknie świeci na małem podwórku. Światło odbija się od bialutkich ścian domu, a pod niemi rosną pierwsze, żółte słoneczniki i lśnią w promieniach. Stara babcia siedzi przy nich na krzesełku i grzeje się na słońcu. Przychodzi

jej mała wnuczka i całuje ją w rękę na powitanie. I wszędzie jest złoto. Złote jest słońce, złote serduszko ma wnuczka, złote są słoneczniki. Oto moje opowiadanie — dokończyły kwiaty.

— Moja biedna babko — westchnęła Zosia — martwisz się pewno taksamo, jak wtedy, gdy przepadł Janek. Ale ja wrócę niedługo i przyprowadzę ci go. — I Zosia zebrała rękami spódniczkę, aby wybiedz szybko z ogrodu. Zatrzymała ją jeszcze na chwilę biała lilja, ale ta nic jej ciekawego nie powiedziała.

Więc Zosia pobiegła aż do końca ogrodu, a stamtąd przez maleńką furtkę wybiegła w pończoszkach na świat. Trzy razy oglądała się dziewczynka czy ją kto nie goni, ale za sobą nie dostrzegła nikogo. Wreszcie usiadła na dużym kamieniu i obejrzała się naokoło zdziwiona. Bo lato tymczasem znikło. Wszędzie była późna jesień i widać tylko w ogrodzie panowało ono wiecznie. — Boże, jakżem się opóźniła — pomyślała Zosia. — To już jest jesień, muszę się śpieszyć. — I podniosła się zaraz, by iść dalej.

Jakżeż zimno i wietrzno było naokoło, nogi męczyły się i bolały bardzo, a zimna rosa świeciła na nich, jak czyste łzy. Z drzew opadały liście, tylko krzaki jałowcu miały jeszcze owoce, ale były one cierpkie i krzywiły usta. Smutno było i szaro na całym świecie.

4. KSIĄŻĘ I KSIĘŻNICZKA.

Gdy Zosia ruszyła w dalszą drogę, pojawiła się obok niej duża wrona. Siedziała ona i przedtem niezauważona na tem samem miejscu, teraz odezwała się: kraa, kraa, a potem zapytała wronim językiem, dokąd dziewczynka idzie tak sama.

Słowo — sama, przypominało Zosi wszystkie niedole, zatrzymała się więc i opowiedziała ptakowi swe przygody, pytając, czy gdzie Janka nie widział. A wtedy wrona przekrzywiła łebek i powiedziała: być może, być może.

— Jakto, naprawdę! — zawołała Zosia i zaczęła tak ściskać i całować wronę, że jej o mało nie zadusiła. — Powoli, powoli — powiedział ptak — nastrzępisz mi pięknie ułożone pióra. Co do twego Janka to myślę, że właśnie jego widziałem. Ale przedtem musisz się dowiedzieć o księżniczce.

— Czy on mieszka u księżniczki? — pytała Zosia.

— Tak, posłuchaj. Tylko nie wiem, czy rozumiesz wroni język, bo innym trudno mi mówić.

— Niestety, nie uczyłam się go — odparła Zosia. — Moja babcia go zna, ale jest teraz bardzo daleko.

— No, to już wszystko jedno, staraj się go teraz zrozumieć. I wrona zaczęła opowiadać to, co wiedziała. W królestwie, gdzie się już znajdujemy, mieszka księżniczka bardzo mądra. Otóż niedawno zapragnęła ona wyjść za mąż. Lecz chciała znaleźć męża, któryby nietylko słuchał tego, co mu się mówi i udawał, że rozumie, lecz rozumiał wszystko rzeczywiście i mógł o wszystkiem porozmawiać. Takiego męża chciała księżniczka, a w to, co ci opowiadam, możesz zupełnie wierzyć, bo mam w jej pałacu narzeczoną, która mi o wszystkiem donosi.

I to jest także prawdą, że od czasu ogłoszenia tej wiadomości, wielu ludzi udało się do pałacu. Lecz jakoś nikomu się nie szczęściło. Bo najbardziej wygadany człowiek, gdy tam wszedł na wspaniałe schody i ujrzał szeregi służby, dam dworskich, ich paziów, pomocników paziów i wszystkie wspaniałości, zapominał

o wszystkiem, stawał przed księżniczką i ani słowa z siebie wydobyć nie mógł. A taki człowiek musiał się przytem spieszyć, bo za nim od bram zamku aż do tronowej sali stały całe szeregi innych, czekających kolei.

— Lecz czy Janek był tam między nimi? — pytała Zosia.

— Bądź cierpliwa — mówiła dalej wrona. — Zaraz będzie o nim mowa. Trzeciego dnia tej pielgrzymki przyszedł pieszo mały chłopiec, i biednie ubrany. Lecz szedł do zamku śmiało. Oczy mu lśniły, a wiatr rozwiewał długie, śliczne włosy.

— To był Janek — zawołała Zosia. — O, znajdę go tam napewno! — i dziewczynka zaklaskała w dłonie.

— Miał on jakieś zawiniątko na plecach — dodała wrona. To były pewnie saneczki — pomyślała Zosia. — Być może — mówił dalej ptak. — To tylko wiem, że wszedł śmiało do pałacu. Wszyscy, którzy wyszli na spotkanie, usuwali mu się z drogi, a on szedł prosto do księżniczki, skrzypiąc głośno trzewikami.

— O, to napewno Janek, gdy wychodził z domu, włożył skrzypiące, nowe trzewiki.

— Rzeczywiście trzewiki miał nowe i skrzypiące — mówiła wrona. — A kiedy wszedł do pałacu i otoczyli go słudzy, zaraz poznano, że będzie miał powodzenie. I wierzaj mi, jakem prawdomówna wrona, że tak było. Chłopiec został w pałacu, bo oboje z księżniczką bardzo się sobie spodobali.

Wtedy Zosia zaczęła prosić wronę: — zaprowadź mnie do pałacu. To był napewno Janek i jego tam znajdę, bo on jeden tylko na świecie mógł być taki mądry i śmiały. —

— Łatwo to tak powiedzieć — odparła wrona. — Ale jak

to zrobić? Muszę najpierw naradzić się z moją narzeczoną. A jeżeli ona się zgodzi, wszystko pójdzie dobrze. I wrona odleciała, prosząc Zosię, aby poczekała na nią.

Wrona wróciła dopiero o zmroku. — Rar, rar, wołała, oznajmiając swój powrót. — Przynoszę ci od mej narzeczonej pozdrowienia i mały chlebek, bo pewnie musisz być głodna. Powiedziała mi ona, że nie dostaniesz się od frontu do pałacu, bo bosej cię tam nie wpuszczą, ale nie płacz, poradzimy sobie. Narzeczona zna małą furtkę w ogrodzie pałacowym i boczne schody, do których klucz zabrałem ze sobą.

Zosia poszła za wroną do ogrodu przez wysokie szpalery drzew, z których spadały reszty zżółkłych liści. A gdy w pałacu jedne za drugiemi pogasły światła w oknach, zbliżyli się do małych drzwiczek, prowadzących na boczne schody.

O, jakże biło wtedy Zosi serce z niepewności i niecierpliwości. Zdawało się jej, że coś złego czyni, a przecież chciała tylko zobaczyć kochanego Janka. Chciała jak najprędzej zobaczyć jego mądre oczy, usłyszeć głos i dowiedzieć się, jak się tu dostał. Wreszcie weszli na schody, gdzie z boku paliła się lampka; tam stała narzeczona wrony. — Mój ukochany mówił mi wiele dobrego o tobie — przemówił ptak. — Znam wzruszające twoje przygody. Weź więc tę lampkę i pójdźcie za mną, bo inaczej nie trafilibyście wśród ciemności.

— Zdaje mi się, że ktoś idzie za nami — powiedziała Zosia. Rzeczywiście coś się przemknęło koło nich, a były to cienie na ścianie, cienie koni z rozwianemi grzywami, dojeżdżaczów, panów i dam.

— To są sny — powiedziała wrona. — Przychodzą tu po

nocy, aby śpiący ludzie lepiej się czuli, przeżywając wszystko jeszcze raz.

Wreszcie wszyscy troje weszli do pięknej sali, gdzie ściany były pokryte różowym atłasem. Tutaj sny ich wyprzedziły, a płynęły tak szybko w powietrzu, że nie można było za niemi nadążyć. Następne pokoje były jeszcze piękniejsze, aż wreszcie weszli do jednego, gdzie zdawało się, że panuje sam sen. Sufit był tam pokryty jakby liśćmi palmowemi z kosztownego, przezroczego szkła, a od nich zwieszały się na złotych prętach dwa łoża w kształcie kielichów lilji.

Jedno z nich było białe i w tem spała księżniczka, w drugiem zaś czerwonem powinien był spać Janek. Zosia zbliżyła się do czerwonego łoża, dostrzegła na poduszce jasną głowę i opaloną szyję i będąc pewna, że to Janek, zawołała go głośno po imieniu i przybliżyła mu do twarzy lampkę.

W tej chwili sny spłoszone uciekły, śpiący się obudził i dziewczynka zobaczyła, że to nie Janek. Zosia się przeraziła, a tymczasem księżniczka wyjrzała też ze swego łoża i zapytała, co się stało. Więc Zosia opowiedziała im wszystko, wstawiając się za wronami.

— O, biedne maleństwo! — powiedzieli na to oboje, pochwalili potem wrony, obiecując je nagrodzić za taki dobry uczynek. Książę ustąpił jej swego łoża i za chwilę Zosia zasnęła smacznie, bo sny wróciły znów do pokoju. Tylko teraz wyglądały one niby aniołowie, ciągnący małe saneczki, gdzie siedział Janek. Tak sny czuwały nad Zosią do rana, dopóki się nie obudziła.

Następnego dnia odziano ją od stóp do głów w bogate su-

knie, i proszono ją o pozostanie w zamku, ale Zosia poprosiła tylko o wózek z końmi i parę ciepłych trzewiczków, aby mogła pojechać dalej, szukając Janka. I dostała Zosia ciepłe trzewiczki i ubranie, a gdy wyszła z pałacu, czekała już na nią piękna, złota karetka. Herby książęce świeciły na drzwiczkach, a woźnica, lokaj i foryś mieli na czapkach małe złote korony.

Księstwo odprowadzili ją do powozu. Wrony, które zdążyły się już pobrać, żegnały ją także. Młoda małżonka usiadła na schodach i długo trzepotała skrzydłami, a jej mąż odprowadził powóz całe trzy mile aż do najbliższego lasu, zataczając kręgi nad pustemi, jesiennemi polami i kracząc na całe gardło.

5. CÓRECZKA ROZBÓJNIKÓW.

Kareta wjechała w ciemny las, a ponieważ była cała pozłocista, świeciła daleko na mrocznej drodze leśnej. Dlatego wpadła niedługo w oczy rozbójnikom, którzy tam czatowali na przejezdnych. — Ależ to czyste złoto jedzie nam w ręce — pomyśleli, wypadli z gąszczu, pozabijali sługi i wyciągnęli Zosię przelękłą z karety. — Patrzcie, jaka czyściutka i tłusta, jakby ją orzechami karmiono — powiedziała stara rozbójniczka, która miała twarz pełną szczeciniastych brodawek i wielkie, zwisające brwi.

— Dobra jesteś, jak małe, pulchne jagniątko — rzekła dalej — zaraz cię spróbujemy. — I baba wyciągnęła z za pasa lśniący nóż, lecz w tej chwili krzyknęła boleśnie. Jej własna, zamorusana córeczka, którą niosła w płachcie na plecach, ugryzła ją w ucho. — Cóż to znowu, obrzydliwe stworzenie! — zawołała stara, odwracając się i odkładając nóż.

— Ona będzie się ze mną bawiła — zawołała córka. — Niech mi tylko odda swoje piękne suknie i trzewiczki. I będzie spała ze mną razem — i mała znów ugryzła matkę tak, że ta aż podskoczyła w górę i zaczęła się z nią kręcić w kółko, a rozbójnicy śmieli się i wołali: patrzcie, jak stara tańczy ze swoim skarbem.

— Chcę jechać karetką — zawołała mała i musiano znów spełnić jej wolę, bo była bardzo rozpieszczona i uparta. Zosia wsiadła z nią razem i wszyscy udali się jeszcze głębiej w las. Córka rozbójniczki była wzrostu Zosi, była tylko silniejsza, ogorzała i miała czarne, duże oczy. Teraz objęła nagle dziewczynkę w pół i powiedziała: — nie zabiję cię, dopóki się z tobą nie pogniewam. Jesteś pewnie księżniczką? — Nie, odparła Zosia i opowiedziała jej wszystko od początku.

A wtedy mała rozbójniczka otarła jej oczy i powiedziała, że jej nie zabije nawet wtedy, gdy będzie rozgniewana.

Tymczasem kareta się zatrzymała, bo była już na podwórzu rozbójniczego zamku.

Zamek był w ruinie, latały nad nim kruki i wrony, a na powitanie ludzi wypadły ogromne buldogi, szczerzą zęby w milczeniu, bo oduczono ich szczekania.

W dużej, starej, opustoszałej sali paliło się wielkie ognisko pośrodku kamiennej podłogi, dym wychodził sufitem; nad ogniem wisiał kocioł z zupą, a obok na rożnach piekły się zające i króliki.

— Musisz spać razem ze mną i z moim ulubieńcem — powiedziała Zosi córka rozbójniczki. I gdy się napiły i najadły, zaprowadziła ją w kąt, gdzie leżała słoma, nakryta derkami. Obok

na deskach i drągach siedziały różne gołębie, które drzemiąc, poruszyły się cicho, gdy dziewczynki nadeszły. — Wszystkie są moje — powiedziała mała rozbójniczka. — A tutaj stoi mój najmilszy — dodała, ciągnąc za sznur, który był uwiązany do ciężkiej, żelaznej obroży na szyi dużego rena. — Musi być przywiązany, bo inaczej uciekłby. — Potem rozbójniczka położyła się spać z Zosią, ale przedtem wzięła do ręki ostry nóż. Czy chcesz z nim spać? — zapytała dziewczynka. — Śpię zawsze z nożem, bo niewiadomo, co się może zdarzyć, ale opowiedz mi lepiej o swych przygodach.

Więc Zosia opowiadała jej dalej, a niektóre gołębie gruchały cicho przez sen. Wreszcie mała rozbójniczka zasnęła, obejmując szyję Zosi. Lecz ta nie mogła zasnąć, bo nie wiedziała, co się z nią stanie. Rozbójnicy siedzieli wokół ognia, pijąc i śpiewając, a stara rozbójniczka chrapała głośno.

Nagle odezwały się gołąbki: — Grr... grr... widziałyśmy małego Janka. Biała kurka niosła jego sanki, a on sam siedział w pojeździe królowej śniegów, który unosił się nad lasem, gdyśmy spały w gnieździe. Wtedy mroźny wiatr zadął na nas, brać gołębią, i wszystkie zmarzły prócz nas dwóch.

— Co tam mówiono wtedy w górze, dokąd jechała królowa śniegów? — pytała Zosia.

— Prawdopodobnie jechała do Laponji, bo tam zawsze króluje śnieg i lód. Zapytaj o to rena, on będzie wiedział najlepiej.

— Tam jest dużo śniegu i lodu i dlatego to kraj wspaniały — wtrącił z zachwytem ren. — Cudnie tam jest w szerokich, lśniących dolinach. Królowa śniegów ma tam swój letni pałac, a pałac jej zimowy jest jeszcze dalej, na samym biegunie.

— O, Janku, mały Janku! — westchnęła Zosia.

— Śpijże cicho, bo cię skaleczę — zawołała w tej chwili obudzona rozbójniczka, i zwierzęta straciły ochotę do rozmowy.

Nazajutrz opowiedziała Zosia małej rozbójniczce wszystko, co jej mówiły gołębie i ren, a ta potrząsnęła głową. To wszystko jedno, wszystko jedno. — A ty, czy wiesz gdzie jest Laponia? — zapytała rena.

— Jakżebym nie wiedział! — odpowiedziało zwierzę i oczy mu się zaiskrzyły. — Tam się urodziłem i wychowałem. Tam się nabiegałem po śnieżnych polach.

— Słuchaj — rzekła wtedy rozbójniczka do Zosi — jak widzisz, ludzie już poszli, ale matka pozostanie, tylko przed południem ma zwyczaj pociągnąć sobie z dużej butli, a wtedy rozpoczyna drzemkę. Wtedy coś dla ciebie zrobię.

I rzeczywiście, gdy stara rozbójniczka zasnęła, córka jej przywołała rena i zapytała: Czy potrafisz zanieść szybko tę małą dziewczynkę do Laponji? Musiałeś słyszeć pewno, co opowiadała wczoraj? — Ren aż podskoczył z uciechy, a mała rozbójniczka przywiązała mu na grzbiecie poduszeczkę, oddała Zosi jej futrzane trzewiczki i ciepłe suknie i posadziła ją na rena. Zosia płakała z radości. — No, nie maż się, a lepiej weź te chleby i szynkę, abyś nie zagłodniała. I rozbójniczka otworzyła drzwi, przywołała psy do siebie i przecięła nożem sznur, wiążący rena. Biegnij teraz — dodała i popędziła go sznurem, — a uważaj na małą dziewczynkę. Zosia zdążyła uścisnąć ją jeszcze za rękę, a potem ren popędził jak strzała przez bagna i równiny. Naokoło wyły wilki i krakały wrony. Puf, puf, strzelało na niebie i tryskał stamtąd ogień.

— To moja stara zorza północna — powiedział ren — patrz, jak błyszczy. I pobiegł jeszcze prędzej. Biegł dnie, biegł noce. Wreszcie, kiedy już chleby i szynka były zjedzone, stanął z Zosią w Laponji.

6. LAPONKA I FINKA.

Ren zatrzymał się przed niewielkim domkiem, wyglądającym dość ubogo. Dach sięgał prawie ziemi, a wejście było tak nizkie, że wchodzić trzeba było prawie na czworakach. Wewnątrz była tylko stara Laponka, która siedziała przy lampie z tranu i jej opowiedział ren historję Zosi. Przedtem jednak wtrącił coś z dumą o własnem pochodzeniu, bo to uważał za najpilniejsze.

— O, biedne stworzenie! — zawołała kobieta. — Przecież musicie jeszcze dalej wędrować. Musicie się dostać o sto mil stąd na granicę Finlandyi, bo tam mieszka królowa śniegów i pali co wieczór bengalskie ognie. Napiszę wam parę słów na suszonym sztokfiszu, które tam oddacie pewnej Fince, mojej znajomej, a ta już wam powie, jak postąpić będzie można.

I skoro się Zosia nieco ogrzała, Laponka wręczyła jej list sztokfiszowy i przywiązała dziewczynkę z powrotem do rena, który ruszył galopem.

— Huk, puk! — wybuchały ciągle pod niebem kolorowe ognie zorzy północnej, ren pędził całą noc, aż wreszcie przybiegł do Finlandji, gdzie trzeba było zapukać w komin, wskazanego przez kobietę domu, bo nie miał on drzwi.

Wewnątrz było tak gorąco, że gospodyni Finka siedziała zupełnie naga. Była ona maleńka i usmolona. Przedewszystkiem rozebrała Zosię i zdjęła jej ciepłe trzewiki, a renowi dla ochłody

położyła kawałek lodu na głowie. Potem Finka zabrała się do czytania listu. Przeczytała trzykrotnie, a gdy już zapamiętała dobrze, włożyła go do kotła, gdzie się gotowała zupa. A wtedy ren opowiedział jej swoją, a później Zosi historję, a Finka przez ten czas błyskała sprytnemi oczkami.

— Jesteś bardzo mądra — mówił jej ren — potrafisz wiatry wiązać jedną nitką i czynić pogodę lub burzę, czyż więc nie możesz pomódz tej maleńkiej i dać jej napój, aby uzyskała siłę dwunastu mężów i zwyciężyła królowę śniegów? — Tak, siła dwunastu mężów jest wielką — odrzekła Finka, poszła do kąta, rozwinęła wielką skórę, zapisaną tajemnemi literami i czytała tak pilnie, aż jej pot ściekał z czoła. A ren tymczasem prosił dalej i Zosia patrzyła na nią błagalnemi oczami, aż wreszcie Finka zawołała rena w kąt i powiedziała mu na ucho, kładąc świeży lód na głowę zwierzęcia:

— Mały Janek czuje się u królowej śniegów dobrze, bo wpadły mu do ucha i serca dwa ździebełka złego szkła. Nic się nie poprawi, dopóki Janek tych szkiełek się nie pozbędzie.

— Ale czyż nie może mu w tem Zosia pomódz, czyż nie chcesz jej dodać sił do tego? — pytał ren.

— Większej siły dać jej nie mogę — odparła kobieta. — czyż nie widzisz, jak już jest silną? Jej, małej dzieweczce, służą ludzie i zwierzęta. Cała potrzebna siła leży w jej serduszku. O dwie mile stąd zaczyna się ogród królowej śniegów; zanieś tam Zosię i zostaw ją przy krzaku, pokrytym czerwonemi jagodami, a sam wracaj zaraz.

Więc Zosia siadła na rena, a ten popędził z całych sił. Nagle Zosia spostrzegła, że w pośpiechu nie wzięła ciepłych trze-

wików i rękawiczek. Mróz szczypał porządnie, ale ren nie chciał zawracać i trzeba było marznąć. Wreszcie dotarli do krzaku z czerwonemi jagodami. Tam Zosia zsiadła mu z grzbietu, pocałowała go w pyszczek, a zwierzę, jak człowiek, rozpłakało się z żalu.

Ren zawrócił, już go nie było widać, a Zosia została boso i bez rękawiczek, sama wśród pustej fińskiej równiny.

Wtedy pobiegła przed siebie, jak mogła najprędzej, a na jej spotkanie niewiadomo skąd, posypały się płatki śniegowe. Ale nie były to zwykłe płatki. Przybierały one różne, straszne postacie, rosły i olbrzymiały, bo były to straże królowej śniegów, broniące dostępu do jej ogrodu. Więc Zosia wystraszona zaczęła mówić „Ojcze nasz". Oddech, wychodzący z jej ust, marzł na powietrzu i w miarę, jak gęstniał, tworzyły się z niego postacie małych aniołków z mieczami i tarczami. Aniołki te walczyły z strażami śniegu, a jednocześnie ogrzewały zziębłe nóżki i ręce dzieweczki, tak, że gdy skończyła modlitwę, szła spokojnie, nie czując mrozu.

A teraz zobaczymy, co porabiał Janek, który pewno nie myślał tymczasem wcale o dzielnej, poświęcającej się dla niego Zosi.

7. CO BYŁO W ZAMKU KRÓLOWEJ ŚNIEGÓW I CO SIĘ POTEM STAŁO.

Zamek królowej śniegów miał ściany śniegowe, a drzwi i okna tworzyła w nim nieustanna zadymka. Było tam mnóstwo sal, a największa miała wiele mil długości. Wszystko oświecała zorza północna, a było tam strasznie pusto i zimno. Nie było tam ani ciężkich śladów łap niedźwiedzich, jakie widać około opusz-

czonych, północnych chat. Nie prowadziły tam nigdzie ostrożne ślady białych lisów, które ledwo od śniegu odróżnić można. Promienie zorzy świeciły tylko nieprzerwanie, spokojnie, prawidłowo, tak, że można było każdą smugę policzyć osobno. W środkowej sali stało wielkie, zamarznięte jezioro, potrzaskane w tysiące kawałeczków, z czego tworzyła się jakby ogromna łamigłówka klockowa.

Pośrodku jeziora zasiadała królowa śniegów, gdy była w domu; mówiła wtedy, że siedzi pośród luster rozsądku, co jej sprawiało największą przyjemność.

Teraz był tam tylko Janek, ale jakże niepodobny do dawnego. Siny, prawie czarny z zimna, nie czuł jednak tego, bo pocałunek królowej pozbawił go czucia, układał uważnie ostre bryłki lodu w różne figury, układał ciągle i mozolnie, a serce lodowate, które miał, kazało mu upatrywać w tej zabawie najmądrzejszą pod słońcem rozrywkę. Janek z figur układał litery, a miały one utworzyć słowo — wieczność, — bo królowa obiecała mu, jeśli tego dokaże, podarować cały świat i w dodatku parę nowych saneczek. Ale słowo dotąd się jakoś nie złożyło.

Królowa odleciała teraz do cieplejszych krajów. Muszę dojrzeć tam moich garnków, — mówiła na odjezdnem mając na myśli wulkany Etnę i Wezuwjusza. — Muszę je trochę pobielić.

Janek więc siedział teraz sam śród ciszy lodowego pałacu.

I wtedy zdarzyło się, że Zosia weszła do pałacu, a na jej wejście z modlitwą na ustach, uciszyły się wiatry i śnieżyce. Zosia dostrzegła Janka, pobiegła do niego, objęła za szyję i zawołała: Janku drogi, kochany Janku! Wreszcie cię znalazłam!

Lecz Janek ani się poruszył. Wtedy Zosia zapłakała, a łzy

jej padły zmarzłemu na pierś, przeniknęły do lodowatego serca i spłukały odrobinę djablego szkła. Janek spojrzał teraz na Zosię, a ta zaśpiewała:

„Różyczki kwitną i wonieją,
Dzieciom się młode serca śmieją“.

A wtedy i Janek zapłakał, ze łzami wypłynęło mu szkiełko z oka, bo były to łzy szczęścia.

Płacząc, Janek wykrzyknął uradowany: Zosiu, maleńka Zosiu! Gdzieś tak długo była? Potem chłopiec obejrzał się wkoło. Jak tu mroźnie — rzekł i przytulił się do Zosi, a ta śmiała się i płakała z radości.

Było to tak wesołe, że nawet kawałki lodu zaczęły skakać, gdy zaś się uspokoiły, ułożyły się w upragniony przez Janka wyraz.

Zosia pocałowała go jeszcze raz w czoło, a Janek nie mógł znaleźć słów z uciechy. Teraz mogła nawet wrócić sama królowa, bo słowo wolności Janka było już ułożone.

Potem dzieci udały się w drogę. Gdy przybyły do krzewu z czerwonemi jagodami, stał tam już ren z drugim, młodym, a ten poczęstował oboje ciepłem mleczkiem, bo była to pani renowa.

Janek z Zosią wrócili do Finki, potem do Laponki, reny je wiozły aż do krańców swego kraju. A za niemi świergotały już ptaki, pączki ukazały się na drzewach, zaś z pomiędzy nich wyjechała na pięknym koniu młoda rozbójniczka z pistoletami za pasem.

— Ładny z ciebie kawaler, że trzeba za tobą biegać aż na koniec świata — powiedziała do Janka. Zosia zapytała ją o księcia i księżniczkę. — Wyjechali do dalekich krajów — odparła

rozbójniczka. — A co się stało z wronami — pytała dziewczynka dalej. I dowiedziała się, że mąż wrony umarł, a wdowa dotąd nosi czarną opaskę na nodze na znak żałoby. — A teraz opowiedzcie mi swoje przygody — dodała rozbójniczka. Dzieci opowiedziały jej o lodowych krainach.

Potem Zosia i Janek pożegnali ją i szli sobie dalej śród kwitnących drzew i śpiewających ptaków. Dzwony jakieś dzwoniły, a dzieci poznały ich głosy. Oto już wieże ich miasta. Dzieci poszły ulicą do mieszkania babci, gdzie wszystko było tak, jak dawniej, zegar szeptał: tik-tak — posuwając wskazówki.

Dopiero, gdy dzieci weszły do pokoju, zobaczyły, że są dorosłymi ludźmi, tak długo trwały ich przygody. Róże na dachu znów kwitły, oboje usiedli na swych krzesełkach dziecinnych i wzięli się za ręce. Wszystko, co było, wydało im się dalekim, ciężkim snem. Bo teraz babka, siedząc w słońcu, przeczytała im głośno z biblji:

— Jeśli nie będziecie, jako dziatki niewinne, nie dostaniecie się do królestwa Bożego.

Więc Janek i Zosia spojrzeli sobie w oczy i pojmując, co mówiła biblia, zanucili:

„Różyczki kwitną i wonieją,
Dzieciom się młode serca śmieją“.

I tak siedzieli oboje jak dzieci, choć już byli dorośli, a naokoło było lato, ciepłe, cudne lato...

OPOWIADANIE WIATRU.

Gdy wiatr przebiega nad trawami lub zbożem, faluje je jak powierzchnię morza. To jest właśnie taniec wiatru. Źdźbła roślin uginają się pod nim, rozchylają się, szemrzą, a wiatr, ledwo je tykając, pędzi już dalej. Ale trzebaby go wam posłuchać opowiadającego. Bo wiatr opowiada ciągle; co innego mówi śród drzew leśnych, a co innego śród ruin starych budowli. Spojrzyjcie tylko, jak wiatr pędzi obłoki niby posłuszne stado, posłuchajcie, jak dmie przez niedomknięte drzwi, niby strażnik, grający z daleka na rogu. Lubi on szczególniej dostawać się przez komin do pieca, a tam chwieje i zgina czerwony płomień, który wybucha wtedy aż na pokój, świecąc jaskrawo i mile grzejąc. Dobrze jest wtedy słuchać go i grzać się. Posłuchajcie więc, co wiatr opowiada. Zna on więcej opowiadań i bajek, niż my wszyscy razem... Uuu, przelatuuję — to jest ciągle powtarzający się jego przyśpiew. A potem już można się wsłuchać i odróżnić słowa, z których składa się następujące opowiadanie:

Daleko stąd nad morską cieśniną stoją czerwone mury starego zamku. Znam tam każdy kamień, znałem je dawniej, kiedy jeszcze tkwiły w wieżach i murach starej nadmorskiej strażnicy.

Ale ta rozpadła się z czasem w gruzy i z jej szczątków dopiero zbudowano dotąd stojący zamek. Widziałem w nim szlachetnych panów i ich żony, widziałem całe ich pokolenia, a teraz opowiem o Waldemarze Daa i jego córkach, bo historya ich jest naprawdę zadziwiająca. Waldemar Daa był dumny, nie darmo szczycił się pochodzeniem z królewskiego rodu. Umiał on nie tylko polować i opróżniać puhary. — To się jeszcze zobaczy — zwykł mawiać o swoich zamiarach.

Żona jego, odziana w tkane złotem suknie, umiała pięknie przyjmować gości we wspaniałych komnatach zamkowych śród rzeźbionych sprzętów i wspaniałych obić. Wszyscy jedli tam i pili ze złotych i srebrnych naczyń, piwnice pełne były starych win, w stajniach rżały ogniste rumaki. Cały zamek był szczodry, dopóki gnieździło się w nim bogactwo.

W zamku były trzy panienki, trzy młode córki: Idalia, Joanna i Dorota, pamiętam jeszcze ich imiona. A że rodzice byli bogaci i dumni, więc i dzieci wychowały się w wielkim dostatku. Uuu... przelatywałem tamtędy — dodał wiatr i opowiadał dalej. — Nie widziałem tam, aby tak, jak w innych rycerskich dworach, pani siedziała razem ze służebnemi w wielkiej sali i przędła. Pani tego zamku grała i śpiewała na dźwięcznej harfie, lecz nie stare swoje ojczyste pieśni, a jakieś długie ballady w obcym języku.

Było to pewnego majowego wieczora — opowiadał dalej wiatr — gdym przybiegł z zachodu na ten brzeg morski, kołysząc po drodze spotkane okręty. Przycichłem wtedy w dużym, dębowym lesie, który rósł jeszcze niedaleko zamku. Pod lasem zebrała się właśnie młodzież wiejska z całej okolicy; wszyscy zbierali suche jak największe gałęzie, a gdy wreszcie stosy były

gotowe, podpalono je i chłopcy i dziewczęta, wziąwszy się za ręce, zaczęli tańczyć naokoło. Czekałem cichutko, a potem nagle zacząłem dąć na ogień, który rozpalił jeden z najpiękniejszych młodzieńców. Drzewo się zaiskrzyło, płomień wybuchnął najwyżej, właściciel jego został wybrany na majowego króla, a jedna z dziewcząt była jego królową. Radość była przy tem i wesołość większa niż kiedykolwiek, w niedalekim wspaniałym zamku. A wtedy drogą do zamku jechała sześciokonną karetą dumna żona Waldemara Daa ze swemi trzema córkami, młodziutkiemi i pięknemi, jak kwiaty. Matka ich wyglądała też, jak wspaniały kwiat, nie zechciała nawet spojrzeć na ten bawiący się tłum, który odbiegł od ognisk i kłaniał się pokornie; zdawałoby się, że ten kwiat ma sztywną łodygę, która się nigdy ugiąć nie potrafi.

Róża, lilia i blady hiacynt — do tych trzech kwiatów były podobne młode panny z zamku. Któż uzna je za swoje królowe? Ich królem majowym będzie pewnie jaki dumny rycerz, a może nawet książę? Uuuu — dodał wiatr.

Kareta przejechała, a wieśniacy wrócili do tańców, bo tego wieczora tańczono naokoło w całym kraju według starego zwyczaju. Ale w nocy, gdym się zerwał z odpoczynku i zaczął obracać blaszane chorągiewki na wieżach zamkowych, dumna żona Waldemara Daa położyła się do łoża, aby już nie wstać więcej. Stało się z nią nagle to, co w swoim czasie dzieje się z każdym człowiekiem. A wtedy mąż jej zamyślił się ciężko po raz pierwszy. Dumne drzewo może się zgiąć, ale nie łamie się nigdy — pomyślał on sobie zamiast zwykłego: to się pokaże. Córki płakały głośno, wszyscy w zamku ocierali łzy, bo pani odeszła na zawsze. Wtedy i ja też odleciałem, uuu — powiedział wiatr.

Od tego czasu bywałem często nad brzegiem morskiej cieśniny, przelatując nad falami, aby odpocząć w lesie dębowym. Gnieździły się w nim morskie orły, dzikie gołębie, kruki i czarne bociany. Kiedyś wczesnego lata niektóre z nich siedziały na jajach, a inne miały już młode. I nagle zerwały się zatrwożone. W lesie odezwały się jedne po drugich uderzenia toporów. Bo las miał być wycięty, Waldemar Daa chciał z jego drzew zbudować ogromny okręt wojenny, któryby spodobał się królowi i został przez niego kupiony. Dlatego ginął las, który był dotąd drogowskazem dla marynarzy i mieszkaniem tylu ptaków. Latały one przerażone nad zniszczonemi gniazdami, a wrony zamkowe i kawki z ogrodu odpowiadały im szyderczo: precz z gniazda, precz z gniazda! — Śród walącego się lasu, przy tłumie cieśli stał pan zamku ze swemi córkami. Wszyscy śmieli się z biednych ptaków, tylko najmłodsza panienka Dorota płakała nad ich niedolą i gdy drwale zaczęli ścinać ogromny dąb, na którym siedziały, w gnieździe pisklęta czarnego bociana, uprosiła ojca, aby kazał pozostawić chociaż to jedyne drzewo. I drzewo zostało.

Dęby zostały porąbane i obrobione i wyrósł z nich wielki okręt o trzech pokładach. Główny majster okrętowy, który się zajmował całą robotą, nie pochodził ze szlachetnej rodziny, ale był mądry i roztropny, mówiły o tem jego oczy i czoło, więc pan zamku słuchał często jego opowiadań, a z nim słuchała najstarsza jego córka. Majster, budując okręt dla jej ojca, myślał ciągle o młodej pannie i wyobrażał sobie w snach piękny zamek, lasy i ogrody, a w nich siebie i ją, jako męża i żonę. Lecz pomimo swą mądrość, majster okrętowy był tylko zwyczajnym

cieślą. I dlatego, gdy robota się skończyła, musiał wyrzec się swych snów i odejść z ciężkiem sercem. Ja odleciałem i on odszedł też budować inne okręty, a Idalia zapomniała go, bo tak być musiało.

Wiecie, że pan zamku hodował w swych stajniach wspaniałe czarne rumaki. Admirałowi, którego przysłał król, aby obejrzał okręt i umówił się o kupno, podobały się one bardzo. Słyszałem, jak je chwalił, bo zakradłem się przez otwarte drzwi do stajni, potrząsałem sianem w żłobach i rozrzucałem po podłodze słomę świecącą niby złote druty w słońcu.

Pan zamku pragnął wymienić swój okręt na królewskie złoto, a admirałowi podobały się bardzo jego konie. Ale upodobanie admirała nie zostało zrozumiane, więc król nie kupił okrętu, wysłuchawszy jego rady. Odtąd opuszczony statek stał na brzegu podparty belkami, jak arka Noego, która nigdy już nie miała się zakołysać na falach.

W zimie, gdy śnieg okrył pola, a na zielonych falach cieśniny unosiły się bryły lodu, znalazłem się znów na brzegu. Wtedy czarne kruki i wrony nadleciały wielkiemi stadami i siadły na opuszczonym samotnym okręcie, stojącym na brzegu. Ptaki krakały głośno, a ja rozumiałem w ich głosach opowiadanie o zniszczonych gniazdach, wyrąbanym lesie, opuszczonych pisklętach, i o wspaniałym okręcie, który to wszystko sprawił, aby potem i tak nigdy nie wypłynąć na morze.

Wtedy zacząłem kręcić naokoło okrętu padający śnieg. Śnieg padał coraz gęściej, zrywał się i opadał, jak wzburzone fale i okręt w nich jakby płynął przed siebie. To była jego jedyna podróż.

Zima przeszła, przeszły następne zimy i lata, leciały one tak, jak ja przelatuję albo, jak ulata śnieg lub kwiecie jabłoni, opadały, jak opadają jesienne liście.

Ale panny z zamku były jeszcze młode, najstarsza zachowała swą piękność, która tak kiedyś zachwyciła budowniczego okrętów. Często rozwiewałem jej włosy, gdy stała nieruchomo pod jabłonią i patrzyła na zachodzące słońce, a otrzęsione przeze mnie kwiecie spadało zwolna na ziemię.

Średnia siostra Joanna najbardziej była teraz podobną do matki. Wyrosła na pyszną lilię o nieugiętej łodydze. Zastawałem ją najczęściej w sali, gdzie wisiały portrety przodków, na których kobiety odziane były w jedwabie i aksamity, a mężczyźni w zbroje lub płaszcze, ozdobione drogocennem futrem. Zapewne między niemi zawiśnie kiedyś jej obraz, na pewno tak myślała, rozumiałem to z cichego poruszenia jej warg, gdy odchodziła stamtąd długim korytarzem.

Najmłodsza piętnastoletnia Dorota podobną była teraz do bladego hiacyntu. Miała duże błękitne oczy, a na ustach półdziecinny uśmiech, którego nie ośmielałem się jeszcze zwiać swoim chłodnym podmuchem. Spotykałem ją teraz w ogrodzie, w lesie albo na polu przy zbieraniu ziół i kwiatów dla ojca, który przyrządzał z nich różne tajemne płyny. Bo Waldemar Daa był dumnym i zarozumiałym, ale posiadał doświadczenie i umiał wiele. Ogień płonął teraz w jego komnacie nawet podczas letnich dni. Drzwi do niej były pozamykane i rzadko dolatywał z za nich głos pana zamku. Teraz postanowił on zwyciężyć siły natury, chciał w milczeniu znaleźć tajemnicę robienia czerwonego złota.

Dlatego to dym i płomień wydobywały się ciągle z komina. Widziałem to, byłem tam — opowiadał wiatr.

A tymczasem gdzież się podziały ze stajni piękne rumaki? Co się stało ze złotemi i srebrnemi naczyniami z sal zamkowych? Wielkie stada bydła nie pasły się już na łąkach. Wszystko topniało, wszystko szło na coraz nowe kotły i tygle, w których dotąd jakoś nie było ani źdźbła złota.

Powoli opustoszały wszystkie kąty zamku, spiżarnie, piwnice i pokoje. Miejsce sług zastąpiły szczury i myszy. Niektóre szyby popękały, inne wypadły z ram, teraz już nie potrzebowałem wchodzić przez drzwi — śpiewał wiatr. — Teraz dąłem przed bramą zamiast nieobecnego trębacza i obracałem z trudem zardzewiałe chorągiewki na dachach. Bieda teraz nakrywała do stołu, bieda zagnieździła się w szafach z zużytą odzieżą. A tymczasem włosy i broda Waldemara Daa posiwiały w kurzu i popiele u komina, czoło pokryły głębokie zmarszczki i oczy zapadły w oczekiwaniu upragnionego złota. Ciskałem mu nieraz w twarz popiół z komina, zawodziłem przez wybite szyby, byłem jedynym śpiewającym głośno w zamku. Nadeszła zima a wraz z nią i mrozy, a wtedy, aby zachować humor, przeciskałem się przez skruszałe mury i zaglądałem w twarze śpiącym biednym córkom. Nie było co tam jeść ani nie było, czem się ogrzać. Uuuu, jakżem tam wtedy biegał — mówił wiatr.

Po zimie nastąpiła wiosna, po nędzy powinny były nastąpić dobre czasy. Ale za długo kazały one na siebie czekać. Było to w samą Wielką Niedzielę, dzwony dzwoniły radośnie, słońce jaśniało na niebie. Właśnie Waldemar Daa skończył przygotowania do ostatecznej próby. Słyszałem, jak wzdychał i modlił się,

słyszałem, jak czekał z zapartym tchem. Nie zauważył nawet, że lampa zgasła, dąłem wtedy na rozżarzone węgle i blask od nich upadał mu na twarz. I nagle zapadłe głęboko oczy alchemika zaczęły się rozszerzać tak, jakby miały wyskoczyć z twarzy. Bo oto w szklanej bańce coś zalśniło. Tak, to było czyste, ciężkie złoto. Waldemar Daa podniósł naczynie w drżących rękach i wyszeptał: złoto — złoto!... Biegłem potem przed nim, kiedy szedł z radosną wieścią do córek. Odzież miał pokrytą popiołem, popiół uczepił mu się w pasmach rozwianej brody i siwych włosów. Ale gdy Waldemar wyszedł ze swej komnaty, nie mógł powstrzymać uczucia radości, wysoko podniósł w górę znaleziony nareszcie skarb, uwięziony w kruchem naczyniu. Znalezione, odkryte złoto! — wołał, a wtedy naczynie wyślizgnęło mu się z drżących rąk, upadło na podłogę i rozprysło na tysiączne części. Wtedy i ja odszedłem z zamku alchemika.

W rok później, gdy dnie już były krótkie, gdy podnoszą się od wody mgły, a ciężkie krople wiszą na jesiennych jagodach i na nagich gałęziach, przybiegłem tam znów, rozpędziłem chmury i zacząłem zginać gałęzie i zamiatać spadłe liście. Wtedy coś nowego stało się w zamku Waldemara Daa. Wróg jego, Ove Kanol, uzyskał wyrok sądowy i stał się panem starego domostwa, tylko łzy najmłodszej córki skłoniły go do pozostawienia jeszcze czas jakiś dawnych mieszkańców w ich siedzibie. Ale Waldemar Daa nie ugiął swej dumy. Szczątki drogocennego złotego płynu ukrył w naczyńku na piersiach, wziął kij w rękę i widziałem, jak opuszczał swój własny dom razem z trzema córkami. Wtedy dąłem mu nad posiwiałą głową, rozwiewałem łatane su-

knie córek i śpiewałem: u-u-u, przechodzę, przelatuję. Bo cała wspaniałość przeszła rzeczywiście.

I tak szli wszyscy troje tą samą drogą, którą kiedyś jechali w poszóstnej karecie, szli do poblizkiej wioski nająć sobie nędzny dom, co miał być ich nowem mieszkaniem, mieszkaniem, złożonem z pustych ścian i małych okien. Kruki i kawki leciały nad niemi całym sznurem i krakały szyderczo: precz z gniazda, precz z gniazda! tak, jak wtedy, gdy rąbano las zamkowy.

Waldemar Daa i córki jego rozumiały dobrze głosy ptaków i dlatego z litości dąłem im w uszy, aby nie mogli wszystkiego dosłyszeć. Wreszcie doszli do swej siedziby a ja poleciałem dalej przez nagie pola i bezlistne lasy nad zbałwanione wody cieśniny. U-u-u-u — leciałem tak, jak za dawnych lat — dodał wiatr...

Ale cóż się stało później z Waldemarem Daa i jego córkami? Nie wiemy o tem dotąd. — I wiatr znów zaczyna opowiadać: Ostatni raz widziałem najmłodszą Dorotę, niegdyś tak podobną do białego hiacyntu, ale teraz była to zgarbiona staruszka. Działo się to w pięćdziesiąt lat później, a ona żyła najdłużej, pamiętając wszystko.

Dość daleko od zamku, niedaleko miasta stał teraz nowy dom proboszcza, kryty czerwoną dachówką. Gęsty dym kłębił się nad kominem kuchni i ciągnął w stronę morza, a na końcu ogródka za domem stała żona duchownego z dwiema córkami, patrząc w dal, gdzie na środku pustej łąki stał samotny dąb, zaś pod nim napół zapadła chata miała coś w rodzaju dachu z kawałków gałęzi, trzciny i mchu, ale właściwym jej dachem było ogromne gniazdo bocianie, rozpostarte szeroko na wierzchu tej izdebki. Był to dom, o którym się mówi, że lepiej go nie

dotykać, bo się rozsypać może. Stał on raczej dlatego, że był bocianiem gniazdem, którego ludzie nie chcieli niszczyć. Bo bocian nie chciał się przenieść na nowiutki dom proboszcza, wolał tu osłaniać tę małą ruderę, w której mieszkała ostatnia córka Waldemara Daa. Była to podzięka ptaka za wstawienie się niegdyś za jego bratem z dębowego lasu. Wtedy ta staruszka była piękną młodą dziewczyną, kwiatem, wyrosłym w rycerskim ogrodzie. O tak, pamiętała to dobrze.

Tak, tak, o jakże ludzie potrafią wzdychać zupełnie, jak wiatr, kiedy szeleści w trzcinie albo sitowiu. Nie śpiewały nad twoją trumną, Waldemarze Daa, dzwony kościołów, nie modliły się żaki ze szkoły miejskiej, przyprowadzeni na grób dobrodzieja. Wszystko zmarniało jeszcze za twego życia. Wszystkiem zaopiekowała się nędza. Siostry twoje, Doroto, też już nie żyją. Tak, wieczny im odpoczynek. Zmiłuj się nad niemi, Boże.

Tak modliła się Dorota w nędznym domku, który jej pozostał z łaski bocianiej.

I znów nastał słoneczny wielkanocny poranek, taki, jak wtedy, gdy Waldemar Daa myślał, że odkrył sztukę robienia złota, a wtedy przez okno z bocianiej chatki usłyszałem nabożny śpiew. Okno to nie miało szyby, był to po prostu otwór w ścianie, słońce wlewało się przez nie jak żywe złoto. Ale oczy Doroty właśnie gasły, serce przestawało bić. Słowa psalmu były jej ostatniemi słowami. Bocian ochraniał ją aż do śmierci, a ja zaśpiewałem jej na pogrzebie — mówił wiatr — tak jak śpiewałem na grobie jej ojca, bo wiem, gdzie jest jeden i drugi.

Inne czasy, nowe czasy. Tam, gdzie były łąki, przechodzi szosa, a obok ruin zamku biegnie kolej żelazna. O starych gro-

bach ludzie zapomnieli zupełnie. U-u-u-u, przelatuję — dodał wiatr.

I to była jego opowieść o Waldemarze Daa i jego córkach. Jeśli umiecie co lepszego, proszę bardzo — zakończył on i ucichł.

Poleciał widać dalej.

SŁOWIK.

Dziwną jest historya o cesarzu chińskim i jego słowiku, którą teraz będę wam opowiadał. Działa się ona tak dawno, że napewno z zajęciem jej wysłuchacie. Otóż wtedy zamek cesarski, który uważano za najpiękniejszy na świecie, miał mury całe z chińskiej porcelany, bardzo kosztownej i tak kruchej, że aż strach było jej dotknąć, nie pomyślawszy o tem zawczasu.

Naokoło w ogrodach rosłe przeróżne kwiaty, a najpiękniejsze z nich były obwieszone srebrnemi brzękadełkami, drżącemi od najlżejszego wiatru tak, aby nikt nie minął ich niepostrzeżenie.

Zresztą wszystko, co znajdowało się w cesarskich ogrodach, mogło zaspokoić niebylejaką wyobraźnię, a ogrody ciągnęły się tak daleko we wszystkie strony, że nawet główny ogrodnik nie zdawał sobie dobrze sprawy z ich rozległości.

Wiadomem tylko było, że gdzieś daleko stykały się one z wielkim lasem, pełnym wyniosłych drzew i szmaragdowych, głębokich jeziorek; las zaś dochodził aż do niezmierzonego błękitnego morza.

Tam, obok potężnych konarów drzew, zwisających nad wodą, przepływały wielkie okręty z wydętymi żaglami.

Nad samą zaś wodą w zielonej gęstwinie, gnieździł się słowik, który śpiewał tak tkliwie, że biedny rybak, zarzucający co wieczora w tych stronach swe sieci, odkładał jak zaczarowany robotę, aby posłuchać cudownego ptaka. „Mój Boże, jakież to piękne!“ — wzdychał on przytem, zamyślając się mimowoli, i dopiero czas, który nie znosi ludzi zamyślonych, zmuszał go na nowo do roboty.

Jednakże następnej nocy działo się znów to samo i biedny rybak, słysząc znowu śpiew słowiczy, powtarzał: „Boże, jakież to piękne!“

Stolica cesarska znana była w całym świecie. Aby ją podziwiać, zjeżdżali się podróżnicy z najodleglejszych krajów. Podziwiali oni całe miasto, zamek i ogrody, ale przedewszystkiem sławili małego ptaka, śpiewającego w gęstwinie nad morskim brzegiem, zgadzając się wszyscy na jedno: „słowik jest największą osobliwością w całem cesarstwie“.

Podróżnicy po powrocie do swych stron nie taili i tam swych zachwytów. To też uczeni wkrótce potem pisali całe księgi o mieście, zamku i ogrodach.

Ale zawsze zaczynali od opowiadań o słowiku i niemi ozdabiali tytułowe stronice swoich dzieł. Zaś poeci pisali natchnione wiersze o słowiku w lesie nad błękitnem morzem.

Wszystkie te piękne książki tłómaczono na różne języki, a wiele z nich, rozchodząc się w ten sposób po świecie, trafiało do rąk cesarza chińskiego.

Wtedy siedząc na złotym tronie, odczytywał on je z widoczną przyjemnością, i kiwał ciągle głową, tak mu było miło spotykać tyle zajmujących opisów własnego miasta, zamku i ogrodów.

„Lecz najpiękniejszym ze wszystkiego jest słowik“ — uprzedzał autor każdego dzieła. Aż wreszcie cesarz uderzył niecierpliwie dłonią po poręczy tronu i zawołał: „Cóż to się ma znaczyć? Słowik? A ja sam nic dotąd o nim nie wiem; czyż to możliwe, aby znajdował się on w moim własnym ogrodzie? To karygodne, że dopiero z obcych książek muszę o tem usłyszeć!“

Wiadomość o słowiku tak obeszła cesarza, że natychmiast, trzymając jeszcze ostatnią książkę w ręce, zawezwał do siebie najznakomitszego z przybocznych dworzan, czyli tak zwanego mandaryna.

Człowiek ten poza chińską roztropnością, inną od naszej, był tak dumny, że gdy ktoś niższy urzędem zwrócił się doń z zapytaniem, albo wogóle odważył się coś przemówić, słyszał tylko: „Hm“, a takie „hm“ nic przecie nie oznaczało i trzeba było pytać na nowo, aż póki się nie natrafiło na wyjątkowy humor zarozumialca.

Gdy mandaryn się zjawił, cesarz rzekł: — W moim ogrodzie znajduje się jakiś niesłychany ptak, nazwany słowikiem. Z obcych książek dowiaduję się dopiero, że jest on największą osobliwością całego państwa. Dlaczego dotychczas nic mi o nim nie wspominano?

— Dotychczas sam o nim nie słyszałem — musiał się przyznać mandaryn, choć jego roztropność ledwo pozwoliła przejść tym słowom przez gardło. — Nie był on dotąd przedstawiony u dworu.

— Chcę, aby dziś jeszcze śpiewał w mojej obecności i rozkazuję ogłosić wielkie przyjęcie całemu dworowi — ciągnął dalej widocznie rozgniewany cesarz — cały świat słyszał go, a przy-

najmniej wie, że go posiadam, tylko ja nie byłem o tem uprzedzony!

— Nic o nim dotychczas nie słyszałem — usprawiedliwiał się coraz ciszej mandaryn, który słynął jako znawca stosunków dworskich — będę go jednak sam szukał, a wtedy musi się znaleźć. — — — —

Tylko jak zacząć takie szukanie? Mandaryn, natychmiast po posłuchaniu poszedł osobiście do wszystkich sal przez wszystkie korytarze i na wszystkie piętra zamku. Porcelanowe schody dźwięczały pod jego coraz bardziej niecierpliwemi stopami, ale o słowiku nic się nie dowiedział.

Wtedy stanął znów przed cesarskiem obliczem i spróbował oznajmić, że wiadomość o słowiku musi być bajką, wymyśloną przez pisarzy:

— Wasza cesarska mość — rzekł, pochylając nizko głowę — nie da wiary, do czego tacy ludzie są zdolni? Są to przeważnie wymysły, powstałe często pod wpływem czarnoksięskiej sztuki.

— Lecz książkę, w której o tem czytałem, przysłał mi potężny i przyjacielski cesarz japoński, zatem nie może zawierać nieprawdy — powiedział na to coraz bardziej gniewny władca chiński. — Słowik musi się znaleźć, muszę go dziś jeszcze usłyszeć. Jeśli zaś nie potraficie spełnić mego rozkazu, zamiast wielkiego przyjęcia, każę wyliczyć całemu dworowi po porcyi bambusów w pięty, stosownie do rangi.

— „Czing-pe!“ — wykrzyknął przerażony dworzanin i tym razem już pobiegł, zapominając o swej godności, pobiegł na wszystkie piętra, przez wszystkie sale i korytarze. Wypytywał przytem każdego spotkanego, nie bacząc już na swe stanowisko,

a co najmniej połowa dworu tłoczyła się za nim, bo nikt nie chciał odczuć na swej skórze zapowiedzianej kary. Lecz niestety, chociaż w ten sposób obeszli prawie wszystkie zakamarki zamku, nigdzie nie dowiedzieli się o cudownym słowiku.

Dopiero w kącie cesarskiej kuchni, za ogromnym stosem naczyń do zmywania, gdyż obiady chińskie odznaczają się wielką ilością potraw, szukający znaleźli maleńką pomywaczkę, a ta na pierwsze zapytanie o słowiku, złożyła ręce i zawołała:

— Słowik, o bogowie, znam go dobrze. Ach, jakże on potrafi śpiewać! Co wieczór pozwalają mi zanosić chorej matce resztki obiadu, zostawiane przez panów kucharzy. Mieszka ona daleko nad brzegiem morza, w starej, trzcinowej chatce, a kiedy od niej powracam i odpoczywam w nadbrzeżnym lesie, wtedy często słyszę jego śpiew. Naprawdę, wielmożni panowie — zakończyła dzieweczka, oglądając się lękliwie naokoło, — nie gniewajcie się, ale wtedy łzy mi płyną z oczu, bo wydaje mi się, że mnie matka całuje...

— Mała pomywaczko — powiedział wtedy mandaryn, przejęty do głębi rozkazem cesarskim, — obiecuję ci doskonałe zajęcie w kuchni i pozwolenie oglądania cesarza podczas obiadów, jeżeli zaprowadzisz nas natychmiast do słowika, abym go mógł wezwać dziś jeszcze przed oblicze cesarskie.

I wszyscy udali się za pomywaczką w drogę do lasu, zapalając różnokolorowe, papierowe latarnie, od których wkrótce w mrocznej gęstwinie zaroiło się, jak od świętojańskich robaczków.

Gdy tak, jak w najlepsze maszerowali, nagle, gdzieś zdala zaryczała krowa.

— O! — wykrzyknął paź dworski — mamy go! Rzeczywiście, co za zadziwiająca siła głosu. Ale ja już go przedtem gdzieś słyszałem.

— Nie — odparła pomywaczka — to tylko krowa; jesteśmy jeszcze daleko od miejsca, gdzie go zastaniemy.

Wkrótce z poblizkiego jeziora odezwały się żaby.

— Wspaniałe! — zawołał na to przyboczny duchowny cesarski. — To dźwięczy zupełnie, jak bronzowe dzwonki w świątyni. Założyłbym się, że to on.

— Ależ to są żaby, — zaprzeczyła dziewczyna — jednak myślę, że wkrótce go usłyszymy.

Wreszcie w gęstwinie zaśpiewał rzeczywiście słowik.

— Otóż on — rzekła mała pomywaczka — słuchajcie panowie, słuchajcie, a oto siedzi tam — i przytem wskazała na małego, szarego ptaka, siedzącego nizko na gałęzi.

— Czyż to możliwe? — zadziwił się wtedy mandaryn. — zupełnie go sobie inaczej wyobrażałem. Jakże zwyczajnie wygląda!... Ale jest on taki pokorny napewno dlatego, że ujrzał tyle znakomitych osób?

— Maleńki słowiku, — powiedziała pomywaczka, na polecenie mandaryna, — cesarz życzy sobie, abyś wobec niego zaśpiewał.

— Z największą chęcią — odparł ptak i zaśpiewał tak pięknie, że rozkoszą prawdziwą było go słuchać.

— To dźwięczy jak szklane dzwoneczki, — rzekł półgłosem mandaryn, — a zauważcie, jak pracuje maleńkie gardziołko. Wprost nie pojmuję, dlaczegom wcześniej tego nie słyszał. O, teraz jestem pewien, że słowik będzie miał powodzenie u dworu!

— Czy mam jeszcze raz cesarzowi śpiewać? — zapytał słowik, sądząc w swej prostocie, że sam władca jest obecny.

— Mój najdoskonalszy poczciwcze — rzekł na to mandaryn — jest mi niesłychanie miło zaprosić cię dziś na bal dworski do zamku, gdyż jego cesarska mość życzy sobie, abyś się popisał swoim śpiewem.

— Coprawda, najlepiej śpiewać wśród zieleni — dodał słowik, — ale tutaj, jak słyszę, życzy sobie tego cesarz, więc przystaję jak najchętniej.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W zamku tego wieczora wszystko wyjątkowo paradnie wyglądało.

Porcelanowe ściany i podłoga odbijały połyskliwie światło tysięcy złotych lamp. Najpiękniejsze kwiaty, obwieszone brzękadełkami, ustawiono wszędzie w drogocennych wazonach u wejść, a ponieważ drzwi były ciągle w ruchu, gwałtowny przeciąg wywoływał tak donośne dźwięczenie, iż często własnych słów nie można było zrozumieć.

Pośrodku sali, gdzie zasiadł cesarz, ustawiono wysoki, złoty pręt dla nadzwyczajnego słowika. Naokoło zebrał się cały dwór, a maleńkiej pomywaczce pozwolono stać u drzwi, dlatego, że ten przywilej był przywiązany do nowonadanego jej tytułu nadwornej kucharki. Całe towarzystwo postrojone było we wspaniałe szaty i wszyscy mieli oczy wlepione w małego, szarego ptaka, ku któremu cesarz raczył się pochylić z wysokości swego tronu.

Słowik zaczął śpiewać i śpiewał tak cudnie, że w oczach

władcy łzy się pokazały. Płynęły one wolno po policzkach, a słowik śpiewał coraz piękniej, jakby chwytając za serca słuchaczy. Gdy skończył, cesarz był tak wzruszony, że rozkazał natychmiast obdarzyć śpiewaka orderem złotego pantofla do noszenia na szyi, co było dowodem niesłychanej łaski.

Lecz słowik oświadczył, że został już mimo to sowicie nagrodzony.

— Widziałem łzy w oczach cesarza, a te są dla mnie najdroższym skarbem. Łzy cesarskie mają bowiem czarodziejską moc — rzekł ptak — bogowie wiedzą, że to jest największa nagroda; — i zaśpiewał znowu swoim słodkim głosem.

— Ależ to nadzwyczajny, nowy wdzięk — mówiły zebrane naokoło damy dworskie i nabierały wody w usta, aby, ta przelewając się przy rozmowie, naśladowała trele słowicze.

Ma się rozumieć, że wszyscy kawalerowie zaczęli je nazywać słowikami i odtąd ten wyraz stał się na dworze najtrafniejszym dla określenia wdzięku i niebywałej słodyczy.

Zresztą nawet pokojówki zamkowe i lokaje wyrażali tak samo swój zachwyt, a to wiele znaczyło, bo od nich zależą przecież największe dworskie intrygi. Jednem słowem słowik zyskał sobie powszechne uznanie.

Odtąd pozostał on na stałe w pałacu, mając własną, drogocenną klatkę, z której wolno mu było wyfruwać dwa razy dziennie i raz w ciągu nocy. Towarzyszyło mu wtedy dwunastu kamerdynerów, z których każdy trzymał jeden z dwunastu jedwabnych sznurków, uwiązanych do nóżek ptaka. Można więc było sobie wyobrazić, że na swobodzie mu nie zbywało.

Nie dość na tem, poza pałacem całe miasto, a miasta chińskie są gęsto zaludnione i bardzo gwarne, nie mówiło odtąd o niczem, tylko o cudownym ptaku; a jeśli dwu ludzi spotkało się na ulicy, jeden mówił natychmiast: sło... — na co drugi odpowiadał: wik... — poczem obaj, patrząc w milczeniu na siebie, długo kiwali głowami, tak jakby conajmniej oni jedni wiedzieli, że jutro nastąpi trzęsienie ziemi, lub coś równie niebywałego.

Tak, nawet jedenastu w tym czasie narodzonym niemowlętom nadano nazwę tego ptaka, choć niewiadomo było jeszcze, czy wogóle kiedykolwiek śpiewać potrafią.

Pewnego dnia doręczono cesarzowi dużą skrzynkę, na której wypisany był wyraz — słowik.

— Zapewne to jakieś nowe dzieło o naszym nadzwyczajnym ptaku — pomyślał władca, wkładając na nos djamentowe okulary. Lecz nie była to wcale książka, tylko maleńki mechanizm, sztuczny słowik, do prawdziwego podobny, z tą różnicą, że cały był wysadzany perłami, rubinami i szafirami.

Sztuczny słowik, gdy go nakręcono, śpiewał tak samo melodyjnie, jak prawdziwy, ale przytem kiwał ogonkiem i lśnił cały od złota i drogich kamieni. Na szyi sztucznego ptaka wisiał naszyjnik z napisem: słowik japoński niczem jest wobec słowika cesarza chińskiego.

— Ależ to wspaniałe — mówili wszyscy naokoło i natychmiast ten, który przywiózł sztucznego ptaka, otrzymał tytuł: cesarsko-słowiczego dostawcy.

— No, teraz muszą razem zaśpiewać — zawyrokował cesarz, a z nim cały zebrany dwór.

I rzeczywiście ptaki zaczęły śpiewać razem. Ale nie szło to składnie, bo żywy słowik śpiewał z własnej woli, a sztuczny podług obracających się w nim kółek i walców.

— To nie jego wina — wytłumaczył zaraz dostawca — uczono go według mej wzorowej szkoły, i dlatego trzyma się doskonale taktu. Wtedy sztucznemu słowikowi polecono zaśpiewać solo. Osiągnął on takie same powodzenie, jak jego współzawodnik, a przytem wyglądał wspanialej, bo połyskiwał jak zbiorowisko klejnotów.

Trzydzieści trzy razy śpiewał on jeden i ten sam kawałek i jeszcze nie był zmęczony. A ludzie słuchaliby go chętnie dalej znowu od początku, gdyby cesarz nie powiedział, że teraz przecież i żywy słowik powinien coś na zmianę zanucić.

Ale gdzież on się podział? Wszyscy byli tak zajęci nowością, że nikt nie zwrócił uwagi na złoty pręt i nie zauważył, że niewdzięcznik wyfrunął zapewne przez jedno z otwartych okien z powrotem do swego lasu.

— Cóż to się ma znaczyć? — powiedział cesarz, a cały dwór, rozważywszy jego słowa, zdecydował, że tamten był jednak niewdzięcznem stworzeniem. — Daleko lepszego posiadamy obecnie, — orzekli wszyscy, i sztuczny słowik musiał znów śpiewać po raz trzydziesty czwarty ten sam kawałek, bo jeszcze go wszyscy nie zapamiętali. Zaś dostawca chwalił tymczasem jego zalety, polegające nietylko na zewnętrznym wyglądzie, ale i na wewnętrznej doskonałości.

— Gdyż spojrzyjcie tylko łaskawi i wielmożne, a przedewszystkiem najjaśniejszy cesarzu: o prawdziwym słowiku nie

można nigdy wiedzieć z góry, co będzie śpiewał, a tutaj to jest zawczasu wiadome. Wiedząc zaś, można się do tego odpowiednio usposobić, można to sobie wytłumaczyć, można wreszcie posłusznego ptaka otworzyć i bez niczyjej pomocy przekonać się, jak są osadzone kółka i walce, jak się poruszają, wywołując dźwięki jedne za drugimi.

— Tak, to było naszem największem pragnieniem, — przyznawali mu wszyscy i cesarskiemu dostawcy pozwolono nazajutrz pokazać słowika ludowi.

— Niechaj też jego śpiew usłyszą, — polecił cesarz.

Nazajutrz lud słuchał słowika, zadzierając głowy do góry i poruszając sztywnymi warkoczami i był tak prawie zajęty, jak wtedy, kiedy się pije herbatę, co jest w Chinach prawie obrzędem. Lud był zachwycony, i wszyscy jednogłośnie rzekli: „aaa“, podnosząc palce wskazujące w górę, a potem na dół je opuszczając, co u Chińczyków oznacza szczyt zastanowienia. Tylko ubogi rybak, który przedtem słyszał prawdziwego słowika, zachował się trochę inaczej. Nie powiedział „aaa“, bo był dziwnie milczący, czego się zapewne nauczył, obcując z rybami. A gdy sztuczny ptak skończył i wniesiono go z powrotem na drogocennej poduszce w głąb zamku, pomyślał tylko po cichu: — tak, to dźwięczy pięknie i jest nawet podobne do słowika, ale czegoś tam brakuje, czego sobie dobrze wytłumaczyć nie potrafię.

Żywy słowik został tymczasem zaocznie wygnany edyktem cesarskim z miasta i kraju.

Sztuczny ptak zajął teraz honorowe miejsce w sypialni cesarskiej, tuż obok łoża. Złoto i drogie kamienie, jakie ciągle

w podarunkach otrzymywał, leżały naokoło, a ptak otrzymał tytuł: jego wysokości, cesarskiego, nasennego śpiewaka.

Dostawca napisał tymczasem dwudziestopięcio-tomowe dzieło o sztucznym śpiewie. Dzieło było tak naukowe, tak najeżone najtrudniejszemi chińskiemi wyrażeniami, że wszyscy ludzie po wydrukowaniu przeczytali je odrazu i mówili, że rozumieją, aby nie być posądzonymi o głupotę i nie narazić się według rangi na stosowne porcje bambusów.

Tak przeszedł cały rok. Cesarz, dwór i wszyscy pozostali Chińczycy znali już doskonale najmniejszy trel z powtarzanych często piosenek mechanicznego słowika. Ale to najlepiej im się podobało, że mogli wszystko sami nucić sobie na pamięć, tak im się to już wbiło w głowę.

Ulicznicy śpiewali: zi, zi, zi, lurk, lurk... i cesarz śpiewał to samo.

Jednak pewnego wieczora, gdy władca, leżąc w łożu, słuchał śpiewającego w najlepsze słowika, nagle w ptaku odezwało się coś: szurpp... a potem coś jakby prysnęło: trynn!... Wszystkie kółka popędziły przez chwilę, jak szalone, a potem stanęły i muzyka umilkła.

Wtedy cesarz zerwał się z łoża i kazał zawołać przybocznego lekarza; lecz cóż ten mógł poradzić? Więc wezwano najstarszego i najmędrszego zegarmistrza, a ten po wielu namysłach i oględzinach coś niecoś zaradził. Lecz ostrzegł przytem, że mechanizm musi być bardzo szanowany, gdyż wszystkie części są bardzo zużyte, a niemożliwem jest sporządzić nowe tak, aby ptak działał jak niegdyś.

Strapiło to wielce wszystkich. Już tylko raz na rok z naj-

większemi ostrożnościami można było nakręcać słowika, a i tego było dlań prawie za wiele.

Z tej okazyi, aby wszystkich uspokoić, dostawca miał wielce uczoną mowę wobec zebranego dworu, w której wyjaśnił, że wszystko jest po dawnemu jak najlepiej i wszyscy się na to zgodzili.

I znów upłynęło pięć lat, aż wreszcie cały kraj spotkało prawdziwe nieszczęście. Chińczycy rzeczywiście bardzo byli przywiązani do swego cesarza, a teraz leżał on chory i nikt nie wiedział, czy żyć będzie.

Nowy cesarz był już nawet obrany, a lud stał na ulicach naokoło zamku i zapytywał najroztropniejszego mandaryna, co się dzieje ze starym cesarzem.

Ale mandaryn nie odpowiadał nikomu, bo jakżeby mógł coś odrzec takiemu pospolitactwu. Jedynie z racji wyjątkowych okoliczności, wydawał od czasu do czasu dźwięk „hm“, a wiemy przecie, że to nic nie znaczyło.

Cesarz tymczasem nieruchomy i blady leżał na swojem wielkiem, wspaniałem łożu, cały dwór uważał go już za umarłego, a niektórzy pobiegli zawczasu zasługiwać się nowemu władcy. Lokaje poszli wałęsać się po mieście i zbierać nowinki, pokojówki piły w kuchni herbatę, którą zaciekawiony wypadkami kucharz zapomniał zamknąć w ozdobnej skrzyni, przejścia i korytarze wyłożone były grubym wojłokiem, aby kroki nie raziły uszu i dlatego wszędzie było niesłychanie cicho.

Cesarz jednakże żył jeszcze. Sztywny i blady leżał w głębi wspaniałego łoża, pod baldachimem z długiemi, aksamitnemi kotarami i pozłocistemi ozdobami. Wielkie okno sypialni było

otwarte, dopalała się przy niem złota kadzielnica, a z ogrodu zaglądał księżyc, oświetlając cesarza i sztucznego słowika u wezgłowia.

Biedny cesarz zaledwo oddychał; zdało mu się, że coś go śmiertelnie dławi. Więc otworzył z wysiłkiem oczy i ujrzał siedzącą na piersiach śmierć, która przywdziała jego złotą koronę, a w kościstych dłoniach dzierżyła jego złotą szablę i drogocenne berło. Naokoło zaś z załamków aksamitnej kotary wyglądały różne widziadła, niektóre straszne, inne zaś niebiańsko piękne.

Były to złe i dobre czyny cesarza, które się zjawiły, gdy tylko śmierć zasiadła przy konającem sercu.

— Czy przypominasz sobie? — szeptały jedne po drugich, — czy przypominasz sobie? — I opowiadały tak wiele, że zimny pot okrywał czoło cesarza.

— Nie chcę o tem wiedzieć! — wołał napróżno, — muzyki, muzyki! Niech uderzą we wszystkie wielkie gongi, aby to zagłuszyć!

Ale widziadła prawiły bezlitośnie dalej, śmierć zaś, jak najprawdziwszy Chińczyk, kiwała na to wszystko straszną głową.

— Muzyki, muzyki! — krzyczał cesarz, — mały, kunsztowny słowiku śpiewaj, coprędzej, darowałem ci tyle kosztowności, zawiesiłem ci odznakę złotego pantofla na szyi, śpiewaj więc teraz!

Lecz ptak milczał. Nie było komu go nakręcić, a bez tego nie mógł śpiewać. Śmierć zato wpatrywała się coraz uporczywiej w cesarza wielkimi oczodołami, naokoło zaś było cicho tak przeraźliwie cicho...

Nagle za oknem rozległ się wspaniały śpiew. To śpiewał mały, żywy słowik, siedzący na poblizkiej gałązce.

Dowiedział się o cierpieniu cesarza i zjawił się, aby swoim śpiewem dodać mu sił i natchnąć otuchą.

I w miarę, jak śpiewał, otaczające władcę widziadła bladły i rozwiewały się, krew w zamierającem ciele zaczynała żywiej krążyć i nawet śmierć, jakby oczarowana, zamyśliła się, szepcząc: śpiewaj dalej, maleńki słowiku, śpiewaj dalej!

— A oddasz mi wspaniałą, szczerozłotą szablę, oddasz berło, zechcesz wyrzec się zabranej korony? — zapytywał w śpiewie ptak.

I za każdą coraz piękniejszą pieśń, śmierć oddawała przywłaszczone oznaki władzy, aż wreszcie, gdy słowik zaczął śpiewać o cichych cmentarzach, gdzie kwitną białe róże i wonieje bez, a świeżą trawę zraszają łzy żyjących, śmierć poczuła tak nieprzemożoną tęsknotę do swych ogrodów, że wypłynęła pod postacią białej, chłodnej mgły przez otwarte okno.

— Dzięki, dzięki, niebiański, maleńki ptaku! — rzekł wtedy cesarz. — Poznaję cię, wypędzony z kraju, płoszysz mi teraz widziadła z nad wezgłowia i śmierć od serca oddalasz. O, czemże cię wynagrodzę!

— Już mnie nagrodziłeś — odparł szary ptaszek — łzami przy pierwszem słuchaniu mych pieśni. Tego nigdy nie zapomnę. Są to klejnoty jedynie godne prawdziwego śpiewaka. A teraz zaśnij cesarzu, to ci siły przywróci; ja dalej będę ci śpiewał.

Słowik śpiewał, wielki, łagodny księżyc taki, jak go malują na chińskich obrazkach, posuwał się powoli po niebie, a cesarz

wpadł w długi, pokrzepiający sen. O, jakże mu było dobrze powracać prawie od progów śmierci!

Słońce już zaglądało przez okno zamiast księżyca, gdy cesarz obudził się silny i zdrów.

Słudzy myśląc, że nie żyje, nie zjawili się wcale, lecz słowik śpiewał jeszcze za oknem.

— Musisz nazawsze pozostać przy mnie! — wykrzyknął władca w uniesieniu. — Będziesz śpiewał, kiedy zachcesz, a sztucznego słowika zdruzgoczę, aby mi nie przypominał mojej omyłki.

— Nie czyń tego, — rzekł słowik. — On też spełnia to, do czego jest przeznaczony; zatrzymaj go przy sobie. Ja nie mogę pozostać w zamku, ani uwić tutaj gniazda. Ale pozwól mi zjawiać się od czasu do czasu. Będę siadywał wieczorem na gałęzi pod oknem, aby cię śpiewem rozweselić i uspokoić myśli. Będę ci śpiewał o szczęśliwych i o tych, którzy cierpią, o złych i o dobrych, o wszystkiem, czego oko twoje samo dostrzedz nie jest w stanie. Taki mały śpiewak, jak ja, zagląda wszędzie: do biednych rybaków, pod dach rolnika, do tych wszystkich miejsc, które są zdala od dworu. Kocham twe serce bardziej niż koronę, która mi się wydaje oznaką męczeństwa. Będę więc twoim skrzydlatym wysłańcem łaski. Ale jedno musisz mi, władco, przyrzec.

— Wszystko! — zawołał cesarz, prostując się majestatycznie i przyciskając do serca swą ciężką, złotą szablę.

— Nie powtarzaj nikomu, że masz małego ptaka, który ci o wszystkiem śpiewa, bo tak będzie najlepiej...

To rzekłszy słowik, odleciał.

Jednocześnie prawie weszli zaspani słudzy, aby popatrzeć na zmarłego cesarza.

A ten stał, o dziwo, naprzeciwko nich, pełen sił, tak jak dawniej, i powiedział im dzień dobry.

NOWE SZATY KRÓLEWSKIE.

Przed wielu laty żył na świecie król, który się tak lubił stroić, że na zakupywanie coraz to nowych, wspaniałych szat wydawał prawie wszystkie dochody, jakie mu przynosiło królestwo. Zamiłowanie jego do strojów było tak wielkie, że przestał się wreszcie troszczyć o sprawy państwa. Nie naradzał się z ministrami, nie odbywał przeglądów wojsk, ani podróżował, jak to królom się zdarza po swoim kraju. Jedynem jego pragnieniem było pokazywać się poddanym w coraz to innych strojach, których miał już takie mnóstwo, że co godzinę mógłby się w inny przebierać. Jeżeli zaś król przebywał w pałacu, wszyscy mieszkańcy wiedzieli napewno, że król jest zajęty w garderobie.

Stolica królestwa była ludnem, rozległem miastem, w którem wrzało życie. Gdyby się kto jednak zainteresował jego mieszkańcami, zauważyłby, że między rzemieślnikami i kupcami, największa była ilość krawców i fabrykantów różnych, drogich materji, którzy osiedli w stolicy, aby dogadzać zachciankom królewskim.

Pewnego dnia do miasta przybyło dwu oszustów. Ludzie ci, którzy musieli doskonale wiedzieć z góry o zamiłowaniu królew-

skiem, zameldowali się przy rogatce, jako dwaj znakomici tkacze, a gdy zamieszkali na jednej z pierwszorzędnych ulic, zaczęli zaraz rozpowiadać naokoło, że potrafią tkać takie piękne materje, jakich oczy ludzkie w tym kraju jeszcze nie oglądały.

Nie kolory i wzór miały tam być całą osobliwością, lecz tajemna właściwość całości materjału, która sprawiała, że uszyty zeń strój był niewidzialny dla każdego, który albo nie nadawał się do swego urzędu, albo też był zupełnie pozbawiony rozumu.

— Toż to byłoby wspaniałe ubranie — pomyślał król, gdy nowina doszła do jego uszu. — Gdybym posiadał taką odzież, mógłbym odrazu się przekonać, którzy ludzie w moim kraju nie nadają się do swych urzędów, a także odróżniłbym niezawodnie mądrego od głupiego. Tak, — postanowił wreszcie król-strojniś — materja taka musi być dla mnie utkaną!

Posłał tedy po obu oszustów, dał im hojny zadatek i rozkazał, aby natychmiast zabrali się do roboty.

Wtedy obaj nicponie ustawili w swojej izbie dwa warsztaty tkackie, tak, jakby byli rzeczywiście tkaczami. Ale nie tkali na nich ani włókienka. Przywłaszczyli sobie tylko wszystek jedwab i złotogłów, jaki otrzymali na robotę i udawali pracę przy próżnych warsztatach, przesiadując przy nich często do późnej nocy.

— Muszę się przecież dowiedzieć, jak daleko postąpiła robota — pomyślał król. Ale zrobiło mu się przytem trochę nieswojo, bo pamiętał, że głupi lub niezdatny do swego urzędu nie dostrzeże materji. Uspokoił się jednak zaraz, że nie o siebie się obawia, i postanowił posłać kogoś zaufanego, aby przekonać się o stanie rzeczy.

Tembardziej, że miasto wiedziało już o cudownej własności materji i każdy był ciekaw wiedzieć, czy jego najbliższy sąsiad jest niezdolny lub pozbawiony rozumu.

— Poszlę tam mego starego ministra, — pomyślał król — on najlepiej osądzi, jak to wygląda, bo jest rozumny i niktby go nie zastąpił w jego wysokich obowiązkach.

Więc stary, poczciwy minister udał się do izby, gdzie dwuch oszustów pracowało zawzięcie przy pustych warsztatach.

— Uchowaj mnie, Boże, — pomyślał, i rzucił okiem, gdy tam wszedł, i mimowoli przetarł powieki. — Ależ ja nic nie dostrzegam! — Lecz głośno nie przyznał się do tego.

Oszuści poprosili go, aby zechciał bliżej przystąpić i zapytali z udanym niepokojem, czy widział już gdziekolwiek podobny deseń i wykonanie? Przytem wskazywali na puste warsztaty, a biedny, stary minister tarł dalej zdumione oczy. Nie mógł nic dostrzedz, bo nic tam przecie nie było. — Boże! — myślał, — czyżem głupi? Tego nigdy nie przypuszczałem i żaden człowiek nie powinien o tem wiedzieć. Albo się nie nadaję do swego odpowiedzialnego urzędu?... Nie, nie mogę się przyznać nikomu do tego, co się ze mną dzieje.

— Cóż, nie pocieszysz nas, ekscelencjo — zapytał jeden nicpoń, zajęty tkaniem.

— O, to jest nadzwyczajne, zupełnie niebywałe — przemówił wreszcie staruszek, kładąc na nos okulary. — Ten właśnie wzór i te barwy. Oświadczę natychmiast królowi, że jestem pierwszym, który oglądał podobne cudo.

— Niesłychanie nas to cieszy — dziękowali mu oszuści i nazwali mu kolory, oraz wytłumaczyli wygląd wzorów. I minister

odszedł zadowolony, że będzie mógł to cesarzowi powtórzyć, co też jak najprędzej uczynił.

Po wizycie ministra oszuści otrzymali nowy zapas jedwabi i złota, co im się mogło przecie przydać do dalszej, tak dobrze zaczętej roboty. I znów przywłaszczyli sobie wszystko, na warsztatach nie zjawiła się ani jedna nitka, a oni trudzili się dalej nad pustemi krosnami.

Wkrótce potem król posłał znowu pewnego znakomitego urzędnika, aby się dowiedzieć, kiedy robota będzie skończona. Stało się z nim to samo, co z ministrem; patrzył i patrzył, lecz ponieważ na warsztatach nic nie było, nic więc nie dojrzał.

— Czyż to nie wspaniała będzie sztuka materji? — zapytywali go obaj oszuści, pokazując i tłumacząc mu szczegółowo to, czego wcale nie wykonali.

— Rozumu mi nie brakuje — pomyślał sobie urzędnik, — jeśli więc nic nie widzę, to sprawia to mój intratny urząd, do którego się nie nadaję. Byłoby to dość zabawne, ale nie trzeba tego okazać po sobie. — Więc chwalił niewidziane i wyrażał zadowolenie z pięknych barw i pomysłowego wzoru.

— Jest to przepyszne — oświadczył potem królowi.

Wszyscy ludzie w mieście mówili z tego powodu z coraz większą ciekawością o tkaczach i król rozkazał postawić wartę przed domem, gdzie pracowali, aby rozpędzała gapiów.

Ale wreszcie sam nie mógł się dłużej oprzeć ciekawości, aby zobaczyć materję na warsztacie. Pewnego dnia wybrał się więc z całym dworem, do którego należeli stary minister i ów drugi urzędnik i zastał obu oszustów pracujących jak najgorliwiej, lecz bez czółenek i nici.

— Proszę spojrzeć! — zabrali głos obaj starsi urzędnicy, gdy wszyscy byli już w izbie oszustów. — Czyżeśmy źle opisywali? Zechciej tylko jego królewska mości zauważyć, co za deseń i barwy! I pokazywali na puste warsztaty, bo myśleli, że wszyscy prócz nich widzą rzeczywiście.

— Cóż to? — pomyślał król — ja nic nie widzę. To straszne. Czyżbym mógł być... i tu król zająknął się nawet w myśli. — A może nie powienienem być królem? toby było najgorsze, co się może przytrafić...

Więc po chwili namysłu, który przystoi królom, rzekł: — Tak, to jest ładne, bardzo ładne i zyskało moją wysoką pochwałę. — A potem przechylił głowę, zadowolony z tego, co rzekł i oglądał pusty warsztat, nie mówiąc nic więcej. Wszyscy, którzy stali najbliżej, patrzyli teraz i patrzyli, ale chociaż widzieli to samo, co najdalsi, powtarzali: — Tak, to jest bardzo piękne! Doskonałe, niezwykłe, przepyszne w pomyśle! — dodawał każdy od siebie i wszyscy się z tego cieszyli.

Król dał w końcu każdemu oszustowi krzyż rycerski do noszenia na szyi i tytuł cesarskiego tkacza, czem zakończył odwiedziny.

Gdy materja została wykończoną, oszuści przez całą noc poprzedzającą spacer króla po mieście w nowych szatach, szyli je przy świetle mnóstwa świec. Ludzie wyraźnie widzieli, jak bardzo byli obaj zajęci. Robili oni ruchy, jakby zdejmowali materję z warsztatów, potem cięli w powietrzu nożycami, niby ją krająć, a dalej szyli bez igieł i nici. Nad ranem wreszcie dali znać królowi, że szata jest gotowa.

Wtedy król przyszedł do nich z najznakomitszemi osobami,

a oszuści, podnosząc w rękach mniemane części stroju, mówili po kolei: — oto pantalony, oto frak, a oto zwierzchni płaszcz królewski i tak dalej. Wszystko to jest lekkie, jak pajęczyna i wygląda tak delikatnie, jakby się tego wcale na ciele nie czuło, ale na tem właśnie polega cała piękność sukien.

— Tak, — mówili wszyscy dworzanie, nie mogąc dostrzedz tego, czego nie było.

— Zechciej teraz, najjaśniejszy królu, zdjąć swoje szaty — rzekli z kolei oszuści — abyśmy cię mogli odziać w nowe, tu przed wielkiem lustrem.

Król zdjął ubranie, a oszuści kładli nań nowe, sztuka po sztuce, obciągając je lekko z przodu i z tyłu, coś pilnie zapinając, a potem rozpościerali coś na podłodze, bo to był tren płaszcza; król zaś obracał się na wszystkie strony przed zwierciadłem, oglądając siebie z zadowoloną miną.

— Boże, jakżeż doskonale leży! — mówili tymczasem wszyscy — co za wzorzystość, jakie kolory. O, to są drogocenne szaty.

— Baldachim, który ma być procesjonalnie nad waszą królewską mością przez miasto niesiony, czeka już przed domem — oznajmił wreszcie mistrz ceremonji.

— Dobrze, jużem gotów — odpowiedział król. — Ale czyż nie doskonale leży? — dodał jeszcze i spojrzał w zwierciadło, bo życzył sobie, aby całe miasto to samo mówiło.

Teraz dwaj paziowie, przeznaczeni do niesienia trenu nowego płaszcza, schylili się do ziemi, tak jakby rzeczywiście podnosili je w rękach, a potem poczęli iść powoli za wychodzącym królem, nie ośmielając się zauważyć cośkolwiek ze swej strony.

Król wyszedł na ulicę, stanął pod baldachimem i cały pochód ruszył na miasto, a ludzie, którzy zapełniali ulice i cisnęli się u okien, nie mogli się dość napatrzeć na nowe szaty królewskie. Nikt nie chciał się przyznać, że ich nie widzi, bo przecie inni nazwaliby go zaraz niedołęgą lub pozbawionym rozumu. To też żadne szaty królewskie nie miały takiego powodzenia, jak te właśnie.

Dopiero na jakiejś bocznej uliczce, gdzie król ze swym dworem zaledwie mógł się przecisnąć między szeregami obywateli, jedno małe dziecko zawołało nagle z tłumu: patrzcie, król nie ma nic na sobie! — O Boże, czyż słyszycie głos tego niewiniątka? — powiedział wtedy jego ojciec, który sam nie odważyłby się zrobić takiej uwagi. I powoli tłumy zaczęły coraz śmielej szeptać: — Patrzcie, król nie ma nic na sobie, niewinne dziecko to zobaczyło!

Szepty te doszły wreszcie do uszu króla, który zmieszał się i zatrzymał na chwilę, bo wydało mu się, że jego poddani mają słuszność. Lecz zaraz potem pomyślał, że nie można przerywać pochodu, wyprostował się dumnie i ruszył dalej, a paziowie ponieśli za nim tren jego nieistniejącego płaszcza.

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

NOWOŚCI WYDAWNICZE 1913 R.

AGOT GJEMS SELMER

SIOSTRZYCZKA

Z ilustracyami LARSSONA.

FRANCISZEK MOLNAR

CHŁOPCY Z PLACU BRONI

Powieść z życia uczniów węgierskich.

VAN EEDEN

MAŁY JANEK

Opowiadanie dla małych dzieci.

BOLESŁAW LEŚMIAN

PRZYGODY SINDBADA ŻEGLARZA

Oryginalna fantastyczna opowieść dla młodzieży.

ANDERSEN

BAJKI

W przekładzie A. SZCZĘSNEGO z barwnemi ilustracyami E. DULACA.

BARRIE

PRZYGODY PIOTRUSIA PANA

Przekład ZOFII ROGOSZÓWNY. Ilustracye i plansze barwne A. RACKHAMA.

* * *

EUGENIUSZ DEMOLDER:

SERCE UBOGICH

Opowiadanie dla młodzieży

karton. Rb. 1.20, w oprawie 1.50

OTTO ERNST:

HISTORYA MŁODEGO ŻYCIA

Powieść dla młodzieży

w oprawie 1.50

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ANATOL FRANCE:

NA KWIATY

Książeczka dla dzieci z obrazkami BOUTET DE MONVELA, w oprawie . . . . —.50

GUSTAW AF GEIJERSTAM:

MOI CHŁOPCY

Szwedzkie opowiadanie dla dzieci, wydanie drugie, w oprawie . . . . —.80

MARYA KONOPNICKA:

JAK SIĘ DZIECI W BRONOWIE BAWIŁY

Ilustracye STANISŁAWA DĘBICKIEGO, w oprawie 2.—

JANUSZ KORCZAK:

MOŚKI, JOŚKI I SRULE

Ilustracye S. LIPSZYCOWEJ
broszur. Rb. 1.—, karton. Rb. 1.20, w oprawie . . . 1.50

JÓZKI, JAŚKI I FRANKI

Ilustracye A. OSTROWSKIEGO
karton. Rb. 1.20, w oprawie 1.50

SELMA LAGERLÖF:

CUDOWNA PODRÓŻ

Przekład J. MORTKOWICZOWEJ.
Ilustracye B. LILJEFORSA.
Część I w opr. Rb. 1.60, część II w opr. Rb. 1.60
część III w oprawie 1.60

F. LAZARUSÓWNA:

MOJA GROMADKA

Ilustracye M. GAWEŁKIEWICZ-CHYBIŃSKIEJ
w oprawie . . . . 1.—

JACK LONDON:

PRZYGODY PSA W KLONDYKE

Z wstępem W. SIEROSZEWSKIEGO i 4 ilustrac.
w oprawie . . . . —.90